

**CENA 50 GR.**  
**ROK II. NR. 19 (32)**  
**WARSZAWA**  
**SOBOTA**  
**12-V-1934 R.**

# PIION

## TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

KAROL IRZYKOWSKI

### NIEBEZPIECZEŃSTWO KSIĄŻKI

Odczyt wygłoszony 20-go kwietnia na Wystawie Książki w Częstochowie

Tytuł mego odczytu mógł się Państwu wydać zagadkowy. Bo co to znaczy „niebezpieczeństwo książki”? Czy znaczy to, że książka sama zagraża? Zagraża — komu? Przecież od czasów szkoły przyzwyczailiśmy się książkę szanować, cenić, a niektóre książki nawet kochać. Czy może mam na myśli książkę t. zw. wywrotową, albo romanse kryminalne albo powieści nieprzyzwoite i chcę ostrzegać przed nimi? Nie, — mówiąc o niebezpieczeństwie książki, nie będę mówił o książkach niebezpiecznych, lecz tylko o książkach wogóle, o książkach jako zjawisku kulturalnym.

Ale czy nie jest może nietaktem, żeby właśnie z okazji świetnej wystawy w Częstochowie mówić o książkach tak brzydko, niejako ją oskarżać? Otóż tak źle nie będzie; sądę bowiem, że gdy się nam uwidatni groza książki jako zjawiska kulturalnego, uwidatni się przez to także jej potęga, jej wspaniałość, uprzytomnijmy sobie, że jest ona czemś takim, jak zbierająca się na horyzoncie burza albo rozkolysane morze, lub wyciechy wulkanu.

Zgóry liczę na pewien pokłask u młodzieży gimnazjalnej. Iluż z pośród niej powie: my to już oddawna wiemy i codziennie odczuwamy, że książka jest niebezpieczna! Dlatego też od niej uciekamy — na boisko sportowe, nad brzeg rzeki, do lasu lub w góry! I może także wielu słuchaczy ze starszego pokolenia przypomni sobie owe czasy, kiedy w Polsce panowała obawa, żeby się nie stać t. zw. molem książkowym. Myślę, że ta obawa, zwyrodniała aż do zabobonu, do nienawiści, nie przysporzyła nam chluby, była prosto chamstwem, i kto wie, czy przez swoje specjalne oddziaływanie zapomocą wstydu, zgóry nie przerzedzała zastępów przyszłych myślicieli, powieściopisarzy, naukowców. Nie mieliśmy wtedy pojęcia, jak olbrzymią pilność mają inne narody, Francja, Niemcy, Anglja, ile tam wiedzy nabywa się już do 20tego roku życia; czasem tylko ktoś z naszych, przybywających z zagranicy, zdumiewał nas swoim wysokim poziomem. Tak jest — tam t. zw. Sitzfleisch jest lepiej rozwinięty. Mniemam jednak, że zaczynamy teraz i w sporcie pracowitego siedzenia zagranicę doganiać. Słowo „doganiać” jest tu użyte nieprawidłowo, ale oddaje rzecz dobrze, bo i tu pewien trening umysłowy, nerwowy i fizyczny jest potrzebny.

Punktem wyjścia moich rozważań będzie fakt, który przed wojną trochę zaalarmował koła uczonych. Mianowicie sławna, ogromna biblioteka Brytyjskiego Muzeum w Londynie — dziś licząca 3.300.000 tomów — tak się przepełniła książkami, że nastąpiła konieczność dobudowania nowego gmachu. Jakiś dowcipniś wyliczył wówczas, że gdyby ilość książek wzrastała w tem samym tempie, to za 50 lat biblioteka wskutek nieustannych dobudówek zajmie tyle a tyle kilometrów przestrzeni, rozrośnie się jak potwór i zagrozi nawet samemu Londynowi. Urodził się wtedy pomysł, żeby niektóre książki, zajmujące wiele miejsca, niszczyć, wpraw jednak fotografować je na miniaturowych kliszach, któreby później można było odczytywać przez lupę. Rzeczywiście takie próby robi dzisiaj brukselski Instytut Międzynarodowy.

Wskutek ogromnego przyrostu książek, rękopisów, gazet, największa dziś na świecie Biblioteka Narodowa w Paryżu — liczy 4.300.000 tomów — buduje sobie w Wersalu, daleko od centrali, gmach osobny na czasopisma i na wydawnictwa mniej używane. Przykład ten naśladowują także inne biblioteki. Sprawę tę podniósł u nas w r. 1928 na zjeździe bibliotekarzy we Lwowie p. Jan Muszkowski, dyrektor biblioteki Krasieńskich, wskazując na przeladowanie bibliotek materialami nieużywanymi, 18 mówców przemawiało w tym samym duchu i domagało się tworzenia magazynów dla odciążenia bibliotek głównych, magazynów, z którychby można zapomocą samochodów sprowadzać żądane przez czytelników materiały.

Ale w sedno rzeczy utrafił pewien szwajcarski bibliotekarz, kilka lat temu, gdy mówił o przyroście liczebny książek, westchnął: mon ami le feu! czyli: mój przyjacielu ogniu, na pomoc! To znaczy, że jeżeli szczęśliwy pożar nie zalatwi tej sprawy odrazu, bibliotekarz nie da sobie rady z przybywającym wciąż materiałem, który trzeba umieszczać, inwentaryzować, konserwować, — no i — przecież — czytać.

Co za kłopoty! Jakże daleko jesteśmy od czasów, kiedy pewien król egipski zakładał pierwszą bibliotekę jako „Skarbnicę lekarstw duszy”. Nazywał się ten król Ozymandjas. Biblioteka była mu snadź apteką. Dzisiejsze biblioteki przywodzą nam na pamięć raczej niestrawność. Kultura nasza wytwarza za wiele produktów i stąd, jak wiadomo, pochodzi dzisiejszy kryzys, gdyż równocześnie konsumpcja pozostała nieorganizowana. Dotyczy to także książki. Ale gdy producent innych wytworów bez ceremonij topi w morzu wory z kawą, pali zboże i t. p. — książki nikt dotknąć nie śmie. Jeżeli się ją pali, to dla celów politycznych, jak to zrobił Hitler. Książka rozmaża się, że tak powiem, bezkarnie, a to prosto dlatego, że każdy człowiek, w zasadzie, jest istotą piszącą.

To hiperprodukcja książki istnieje nie od dziś. Już w r. 250 przed Chrystusem sławna biblioteka aleksandryjska w Egipcie liczyła przeszło pół miliona puszek z rękopisami. I cóż się z niej dziś zostało? Została jako rzecz najcenniejsza legenda — znana Państwu — że kalif Omar kazał ją spalić, mówiąc: albo to co ta biblioteka zawiera, jest w Koranie, a wtedy jest niepotrzebne, albo mówi co innego niż Koran, a wtedy jest szkodliwa. Takim frantem miał być ten kalif. Ale ponoć ta legenda jest mylna i całkiem niesłusznie obraża kalifa Omara, który był wielkim człowiekiem, apostołem islamu i zdobywcą, zarazem ascetą, czcicielem wiedzy. Podobno już przed zdobyciem Aleksandrii przez generałów Omara, biblioteka została wywieziona do Konstantynopola przez cesarza Teodozjusza II. Arabowie chrześcijanom, chrześcijanie Arabom zarzucali jej złupienie. Faktem jest, że w ciągu dziejów, zwłaszcza w czasie wędrówki ludów, stare biblioteki wyginęły, ich resztki wyratowali później mniszki Benedyktyńcy. Za czasów humanizmu nastąpiła ponownie żądza zbierania i szanowania książek. Wynalazek sztuki drukarskiej podsylił tę żądzę, i gdy potem przyszła wojna 30letnia i różne rewolucje,

biblioteki nie padały ich ofiarą; nie palono ich jak ów legendowy kalif i prawdziwy Hitler, lecz tylko je sobie wzajemnie rabowano. Szacunek dla książki objawiał się w rabowaniu jej. Także rewolucja rosyjska nie niszczyła książek zasadniczo i dzisiaj największej księżki nagromadzonych jest w Leningradzie. Leningradzka biblioteka publiczna liczy 4.200.000 tomów (o 100.000 mniej niż Biblioteka Narodowa w Paryżu), a prócz tego leningradzka biblioteka uniwersytecka posiada 2 miliony tomów. Co do rękopisów to Leningrad jest na pierwszym miejscu, ma ich 231,746, gdy Paryż ma połowę tego).

Niebezpieczeństwo książki nie polega na tem, żeby ona zajmowała zbyt wiele przestrzeni, i westchnienie owego bibliotekarza szwajcarskiego do „przyjaciela ognia” nie tak należy rozumieć. Miejsca na ziemi dla książki jest dosyć. Na ziemi i pod ziemią, bo teraz kopie się dla niej także magazyny podziemne. Jeszcze daleko do tego, żeby ziemia wyglądała jak skrzynia naladowana książkami i wyspedjowana we wszechświat. Niebezpieczeństwo tkwi w tem, że przecież książki są po to, żeby czytać, i pod tym względem jest coraz większa dysproporcja między podażą a popytem.

Dysproporcja ta, podobnie jak w przemyśle, wynika między innymi z istoty kapitalizmu. Wielkie firmy wydawnicze, które mają własne drukarnie, muszą wypuszczać po kilkadziesiąt tomów miesięcznie, bo „drukarnia nie może stać”, personel, aparat reklamowy, rozsyłkowy i t. d. — to wszystko kosztuje i musi mieć zajęcie. Biedny autor spłodził książkę w natchnieniu; może myśli, że to jest książka ostateczna, po której nic już przyjść nie może i nie powinno. Ale dla firmy wydawniczej jest to tylko jeden numer w nieustannej robocie, w której książka z rąk wydawcy wędruje do rąk drukarza, introligatora, ekspedytora, księgarza i t. d. tak jak cegła podawana z rąk do rąk przy budowlach. Taka firma to jest moloch, w którym się przerabia życie na książki.

Cierpi przez to autor, ale cierpi i czytelnik, ponieważ jest fizycznym niepodobieństwem nietylko przeczytać taką masę zadrukowanego papieru, ale chociaż być au courant tego co wychodzi.

Tyle co do bieżącej produkcji książkowej. A dawna? Dawna jest przytłoczona nowymi; gdzieś w jakichś mrokach walczą te wszystkie książki o byt. Bo o co głównie chodzi? O to, że każda jest poniekąd ob-

\*) Cyfry te czerpię z leksykonu niemieckiego. Choć imponujące, nie mają one dużego znaczenia; należałoby przecież stwierdzić także, jakie to są książki i rękopisy, jaką mają wartość. — Dla porównania główne pozycje polskie: Biblioteka Jagiellońska 500.000 tomów, rękopisów 9000, biblioteka uniwersytecka w Warszawie ponad 700.000 tomów, 9000 rękopisów; Ossolineum we Lwowie 660.000 tomów, biblioteka uniwersytecka we Lwowie 300.000 tomów i 1000 rękopisów, Biblioteka Krasieńskich w Warszawie 250.000 tomów i 6000 rękopisów, biblioteka uniwersytecka w Wilnie 300.000 tomów i 12.000 rękopisów, biblioteka uniwersytecka w Poznaniu 340.000 tomów, Biblioteka Czartoryskich w Krakowie 150.000, Biblioteka Narodowa w Warszawie 200.000 tomów. Razem 3.400.000 tomów. Poza tem 8526 bibliotek oświatowych liczy razem 6 milionów tomów.

**T R E Ś Ć:**  
**J. E. SKIWSKI**  
**LITERATURA**  
**NARODOWA**  
**W D N I U**  
**DZISIEJSZYM**  
**KAZIMIERZ WYKA**  
**NOTATKI Z BELGJI**  
**STEFAN ESSMANOWSKI**  
**ARTYSTA**  
**I TWÓRCZOŚĆ**  
**ROZMOWA**  
**Z J. KADENEM**  
**BANDROWSKIM**  
**ROMANGINEYKO**  
**ARYSTOKRATYZM**  
**POJĘĆ W E**  
**WSPÓŁCZESNEM**  
**MALARSTWIE**  
**KAROL IRZYKOWSKI**  
**NIEBEZPIECZEŃSTWO**  
**K S I A Ź K I**  
**STANISŁAW PIĘTAK**  
**P O W R Ó T**  
**HERMINJA NAGLEROWA**  
**STARY KRAUSE**  
**ALEKSANDER HERTZ**  
**JUBILEUSZ**  
**LUDWIK A**  
**KRZYWICKIEGO**  
**JERZY TOEPLITZ**  
**P R Z Y K R A**  
**A T M O S F E R A**  
**SPRAWOZDANIA**

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

K 1243/84/27

ciążeniem terażniejszości na rzecz przeszłości. Każda biblioteka jest niejako „arką przymierza między dawnymi a nowymi laty”, arką, napelnioną książkami, pamiętnikami, gazetami, a przecież należą tu także protokoły, tajne akty, stenogramy, zbiory listów, sprawozdania i t. p. Z głównymi pretensjami występuje historia. Przecież tak często się mówi: O tem rozstrzygnie historia, to pozostawmy historii. Istnieje wiara, że historia jest jakimś sądem ostatecznym na raty, który załatwi cały materiał mu przekazany. Ta wiara jest bardzo zrozumiała; kto sam czegoś nie osiągnie, apeluje przynajmniej do historii, napisze jak to było, — to jego jedyna pociecha. Obawiam się jednak, że t. zw. historia nigdy nie załatwi tych zaległości.

Z przeszłości wyciągają się ku nam wciąż jakieś cienie, dopraszają się naszej uwagi, żebrzą o naszą pamięć. Są to jakby cienie z Hadesu, któreby się napiły naszej krwi, aby na chwilę żyć. Gdy czytamy czciogodne karty zostawione przez tych nieboszczyków, na chwilę uczymy im życia. Ale oni chcieliby nas wciągnąć głębiej. Przeszłość domaga się studiów, komentarzy, komentarzy do komentarzy, powtarzania, śledztwa i sprawiedliwości. Po części to spełniamy. Ale t. zw. potomność ma swój instynkt samozachowawczy wobec tych duchów przeszłości; nie chce się przeciązać, nie chce, żeby przeszłość na niej pasorczywała, bo inaczej sama nie mogłaby spełnić swego zadania, które polega na tem, żeby być przedewszystkiem sobą.

Wynalazek pisma i druku wspomógł ogromnie siły przeszłości przeciw terażniejszości, i tak jak wszystkie wynalazki spowodował hiperprodukcję i obecny kryzys kulturalny.

Niegdyś w 1624 Bako, biskup Werulamski, filozof i przyrodnik wymarzył sobie „Nową Atlantydę”, szczęśliwy kraik na Oceanie, która reguluje swoje życie zapomocą techniki. Osobna akademia nazwana „Domem Salomona” fabrykuje różne wynalazki. Nie zabrakło więc tej Atlantydzie nawet łodzi podwodnych, znane jej były także sposoby technicznego wydobywania ciepła z jądra ziemi. Bako wierzył w to, że wynalazki zapewnią światu szczęście: myślał on kategoriami raj, tak jak my dziś myślimy kategoriami katastrofy. A trochę wcześniej drugi utopista, Marcin Luter, tak się wyraził o sztuce drukarskiej (w swoich Przemówieniach przy stole): „Sztuka drukarska to jest summum et postremum Dei donum, najwyższe i ostatnie dobrodziejstwo Boże, przez które Bóg posuwa naprzód sprawę Ewangelji; jest to ostatni płomień przed zagaśnięciem świata”.

Ostatni! Ostatni płomyk gasnącej lampy? Ostatni dlatego, że Luter tak jak legendowy kalif Omar nie wyobrażał sobie, żeby już coś więcej było potrzebne, gdy Ewangelja się rozpowszechni. A tymczasem wynalazek druku nie był końcem, lecz dopiero początkiem. Przecież on stworzył nowy stan ludzkości, rozpełtał krytycznego ducha w Europie, skomplikował niezmiernie sposób nowoczesnego odczuwania, uczynił życie tak bardzo nieprzejrzyście.

Srodek wyrósł i tutaj ponad cel, powstało błędne koło między wynalazkiem a potrzebą, człowiek okazał się magikiem, który nie opanowuje sił przez siebie wyzaczarowanych. Książka, jako substrat materialny wszelkiej myśli, dobrej czy złej, jest machiną podstawową, podobnie jak pieniądz. Tezauryzowaniu pieniądza odpowiada magazynowanie książek. Jeden człowiek nie ma czasu ogarnąć tych wszystkich wiadomości i myśli, których mu dostarcza książka. Stąd konieczność specjalizacji, niemożność takiej uniwersalnej wiedzy jaką — w innej oczywiście proporcji — posiadał np. Arystoteles. Ucząc się, człowiek dzisiejszy nie ma czasu sam myśleć; wikła się w nadmiarze przesłanek swojego myślenia. Stąd westchnienie: mon ami — le feu!

Takie mniej więcej jest „niebezpieczeństwo książki” — w najgrubszych zarysach. Ale nam ono jeszcze nie zagraża — przynajmniej nie ze strony naszej książki. Naszych książek jest jeszcze za mało. Otóż pragniemy, żeby — skoro już „niebezpieczeństwo książki” musi nam zagrażać, — żeby nam zagrażała nasza własna książka. Chodzi nie tylko o ilość, lecz także o jakość. Jeżeli będzie dobra, interesująca, wspaniała, to niech nas zasypuje, niech nas wciąga w swoje

wiry. Będziemy ją czytali, studjowali, kochali, — dla niej zaniedbamy nawet terażniejszość. Przecież wiemy, że np. każdy geniusz poetycki to zawalidroga, który na dłuższy czas wyczerpuje uwagę ogółu, nie

dopuszcza innych do głosu. Tem lepiej, tego właśnie pragniemy.

Na zakończenie wyrażę jeszcze swoje uczucie jako krytyk. Nie powiem: „mon ami — le feu” (mój przyjaciel — pożar) pożar

zastąpiłbym w inny sposób. Niechby na jakie trzy lata ustala zupełnie produkcja książek, wtedy może część z nich można spokojnie przeczytać, rozpatrzyć i wysmakować.

KAZIMIERZ  
WYKA

## NOTATKI Z BELGJI

W przestrzale alei parku, nad Brukselą wyniesionego, gaśnie zimne słońce. Naprzeciw z nad dachów odbija się nabrzmiały i siny księżyc grudniowy. Kiedy zgaszę światło, stać będzie nad łóżkiem w oknie mansardy i wabić przez perliste dżdżki rosy. Wiem, że wstanę, śmieszny opilek ludzki magnesem blasku schwycony, podniosę okno i wyjdę na srebrne dachy. Księżyc zesunie się z nad mego okienka, nie znajdę go nigdy więcej i nie znajdę dachu, którego szukam. Był wśród kasztanów ciepłosrebrny latem, zimną płynący wśród fosforycznych, zielonych fal śniegu. Nadejdzie odpływ nocy, opadną fale złej jasności i na brzegu ulicy znajdą mię muszla nieżywą.

Wspaniała stara biblia lacińska. Bóg, staruszek poczciwy w błękitnej szacie na siedmiu misternych minjaturkach stwarza świat. Na siódmej zasiadł na czerwonej poduszce na tle podobnej zasłony, z berłem i jabłkiem w dłoni. Na szóstej skleił właśnie niewinną lalczkę Adamową. A tekst ostremi literami głosi surowo: Dixit autem Deus: Fiant luminaria in firmamento coeli. Rożek księżycy i proszek gwiazd.

Antwerpję po raz pierwszy ujrzałem na bajecznym biuście Meunier. Głowa robotnika portowego, młoda i surowa, lecz nieoczekiwanie szlachetna, bez tego postarzałego i niewęczącego ludzki wyraz wycisku, jakim dał rył Meunier głowy swych robotników. Głowa wiecznie młoda.

To było spotkanie pierwsze. Takie same były dni wszystkie i wieczory. Przejmujący wicher nad Skaldą, księżyc roztopiony w niej i krajany splotem holowników, fantastycznie srebrna klinga pustego brzegu przeciwnego. Takim było pożegnanie i bieg pociągu przez zmarzłą i smutną równinę flandryjską, skąd wywodzą się świętki miejscowe i gdzie czczą szczególnie św. Antoniego pustelnika, tego z niezliczonych kuszeń.

Lecz dopiero cała postać z Muzeum miejskiego w Antwerpii, z której zdjął rzeźbiarz tors i nazwał jej imieniem, wyjaśniła tajemnicę czaru tego miasta. Bo robotnik ten portowy miał nie tylko piękną i młodą twarz, lecz i dłonie dziwnie piękne, silne i męskie a niepokojące, szlachetną długością palców. To są dłonie Bruegheli, Rubensa, Teniersa, Van Dycka.

Grieben się cieszy, że w wojnie światowej ostrzeżenie Antwerpii nie zniszczyło żadnych zabytków. Miejsmy nadzieję, iż tak było po raz ostatni — w przyszłości nie będzie się tak marnować cennych strzałów ciężkokalibrowych. Choć może nie: cóż znaczy katedra z strategicznego punktu widzenia. Nawet za schron gazowy służyć nie może.

Z katedry ciągle słychać dzwony. Jakgdyby wieża była dźwięcznym soplem lodu, stałagmitem strzelistym, a Chronos kosą uderzał w nią w porach nieprzewidywanych. Lecz w miejskiej bibliotece, wśród smukłych ulów książek, dzwony ledwo że słychać. Jakgdyby myślą utajoną i wiecznie żywą budziły się w ten późny wieczór rzędy zamarłych ksiąg, drgały ukrytym sercem swoim, czekały odzewu schylnych głów i cichy jak pszczoły dalekie. W pracowni Fausta, dzwonem radosnego Alleluja, dzwonem wyzwolenia i życia, zabrzmiały — myślę — księgi jego. I pobudziły dzwony martwe, z brązu odlane.

Chwila refleksji: patrycjusz czasów dawnych czysty zysk handlowy przetapiał w kąpiłę, obraz, tryptyk. Rubens jest najbardziej kupieckim, najbardziej obcym barba-

rzyńskości i niezależności, artyzmu genujszem. Patrycjusz czasów dzisiejszych przetapia w szpital, fundację naukową zysk swój. Kogo uzna przyszedłszy człowiek Huxleya?

Cóż, że przed niknącym w ciasności i mroku uliczek kościołem św. Jakóba pali się lampy staroświecka. Ze chłopcy startują z brzegu chodnika — meta u ściany naprzeciwko. Ze domy, jak jaskółcze gniazda oblepiły katedrę; obchodzi się ją, niknie, wytryska nagle wieża, lecz ciągle czujna jest śpiwem zegarów. Cóż, że błądzisz fantastycznymi uliczkami, odkrywasz coraz dziwniejsze przejścia, załomy, zaułki, — że płoną wielkie okna gotyckie Domu Rzeźniczego a schody zakosami wyboistemi obejmują go. Cóż, że w niewiadomej uliczce wpadasz w jedyny dziedzińiec i salę zarazem główną gotycką starej giełdy, gdzie błądzą w półcieniu duchy. Moretusów, Buddenbrooków, Forsyte'ów, cóż — kiedy gdzie się zwrócić, ściga cię jęk syren z nad Skaldy. Nie trzeba się tem przejmować. Małe, zabawne Ryszardy, Flandrje, Emmy ryczą najgłośniej. Nadrabiają głosem.

Lecz trwa już zbyt długo ten dźwięk, w zbyt wielu odnajduje cię miejscach, by nie ustąpić mu. Za szorstką, huczną linią tonu idziesz naoslep. Odnajdziesz ją chyba w końcu, zawisła kłębkami pary u początku swego. Więc idziesz. Nie znasz niespodzianki. Białe, długie, o pięknej linii statek dwukominowy. Spieszysz się terasą — „Albertville”. To przecież miasto w Kongo! Przed trzema godzinami wrócił stamtąd. Nazajutrz w „Matin” spis wysokich osobistości kolonialnych przywiezionych i tony towarów. Za chwilę sunie i może innych zbłąkanych wywabia z miasta ostatnim głosem swoim. Niedarmo jesteś śmiesznie wzruszony: wczoraj znów czytałeś „Novembre” Flaubert'a. Masz w uszach kaudencję zdań ostatnich dźwięk tęskny zdań o portach, podróżach romantycznych w marzeniu, ziemiach nieznanych, zachwytach upragnionych nad tem, co obce, barwne i dalekie. Masz w uszach ten dźwięk i zapominasz, że widzisz obraz najcodzienniejszy, najpospolitszy, że niema w tem, co oglądasz nic, tylko lekki i boski pył słów, jakim upudrował ci się zwykły wieczór zwykłego powrotu parowca ze zwykłej, przez dziesiątek urzędników w biurach naprzeciwko opisanej i obliczonej podróży.

Jak nie ma być w bibliotece przytulnie! Cóż, że dzwoni telefon, kiedy przed stołem moim poważnie przechadza się kot. Skacze na stół, wyciąga się i mruczy. Nie darmo zdziwiłem się, szukając na rogu nazwy jakiejś ulicy, że zowie się: Soyez bons pour les animaux. — Później przekonałem się, że przynajmniej połowa ulic w Antwerpii tak się nazywa.

Łąki są tutaj, by kwitły na nich: Chocolat Meurisse, Cigarettes Regal, Cacao Kwatta, Solo Margarine.

Remarque pisał o ranach zimowych, zadawanych rozprysniętymi kawalkami ziemi zmarzniętej. Przypominam to sobie, idąc wzdłuż stęglej w buro-bronzone żelazo roli flandryjskiej, ścieżką graniczącą z białem, które wygląda jak fantastyczny odlew z mroźnej huty grudnia.

Dominujące i niezbyt mile wrażenie ogólne Gandawy streszcza się w tem, że zarówno hrabowie flandryjscy, jak Roger — djabel swe zamki, jak budowniczo wie katedry, Beffroi i ratusza, budowali z myślą o

przyszłych turystach. W jednej linii, niedaleko od siebie, przejrzyście i przestrzennie dzieląc dużymi placami. Dopiero stare sztychy pouczają, że to dzieło zapobiegliwego wieku XIX, bo wszystkie te, na stary kamieniu upozorowane budynki oblepione były w prawdziwy sposób życia domkami, ludzkim mrowiem, jak wszystkie kościoły antwerpijskie.

Na Place d'Armes w Gandawie jest Aca-démie de Billard. Chciałem się zapisać i pytałem w biurze pouczeń dla turystów, jakie są warunki przyjęcia i ile lat trwają studia. Mój pan zrobił z troską minę, wreszcie zrozumiał i z śmiechem, polecił mi zwrócić się na miejsku. Cóż, kiedy tam nie przyjeżdżam, powiadając (nie zauważyłem napisu) że to cercle privé. Wyjechałem niepocieszony.

Przemysł turystyczny ma też swoje urządzenia. W Château des Comtes de Flandre narzędzia tortur, miecze katowskie z ogromnym napisem o ich przeznaczeniu. Jasno oświetlone ciemnice więzienne. Wreszcie najważniejsze: w szklanej skrzyni, w dawnej stajni zamkowej, również specjalnie oświetlone resztki kości z napisem głoszącym, iż są to szczątki pochowanych tutaj kobiet. Przemysł turystyczny. Jest na szczęście mroźny grudzień i niema Angielek i Niemek, lecz widzę je w tych miejscach i słyszę — och, ach!

Są słowa, które robią niezasłużoną karierę. „Wenecja północy”. Szukałem jej w Bruges szczerze i napróżno. Nie znalazłem. Znalazłem zato chwilę zupełnego zachwyty, piękno, jakiego nie było w Wenecji. Powiedziałem sobie prawem przekory: „Bruges południa”. Kiedy znajdę się w Wenecji znowu, będę szukał tego i napewno nie znajdę.

Prześladowała mnie w Bruges myśl, że gdzieś je już widziałem. Ze znam już. Dopiero po wyjeździe spostrzegłem się, że przecież to jest miasto z „Zeglarza” Szaniawskiego. Ze to była nienapisana scena jego komedji nierealnej, kiedy rano w niedzielę szli z kościoła urzędnicy miejscy, czwórkami, z sztandarem. Pierwszych kilku miało trąbki z czerwonymi wylogami na wewnątrz i trąbiło na zmianę „panu burmistrzowi na chwałę, który czekał ich u wejścia do ratusza. A może to było z „Ptaka”?

Jeszcze słowo o niezasłużonej karierze. W Polsce do niedawna, kiedy pisało się o Rosji, byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa etc. Słowo — rekwiwit. Tutaj ciągle, nawet w Bruges, przesładuje mnie w gazetach apostołat Belgji w Kongo.

Moment wieczoru w Lacken. Jadę z walizkami do pociągu. Stajemy. Ku górze podnosi się most. Z tramwaju wysiada konduktor, opiera się o barjerę. W oddali, jak okręt wyjąca syreną, przebiega pociąg. Czarnym w barokowe, kręcone kolumny światła, kanałem płynię w milczeniu City of Brussels.

Na drugim brzegu Meunier'a pomnik pracy. Najpiękniejszy, jaki znam i najlepiej umieszczony pomnik. Nikt nie ma czasu, by zatrzymać się przed nim. To dobrze! Robotnicy spieszą na pobliską stację, gdzie śpieszysz Ty, czerwonym światłem gasnąc, City of Brussels?

## DJALOGI AKADEMICKIE

## ARTYSTA I TWÓRCZOŚĆ

Rozmowa z Juljuszem Kaden-Bandrowskim

Kiedyś w dzieciństwie widziałem ciekawą produkcję prestidigitatorską: „mag” Baltazar — jeśli się nie mylę — kładł na dłoni wyciętego z papieru gołębia, nakrywał go drugą ręką, a dmuchnąwszy między przymknięte palce wypuszczał nagle na sa-  
lę żywego, białego ptaka.

Przypomniało mi się to „czarnoksiężstwo” w rozmowie z Kadem Bandrowskim. Odnosiłem wrażenie, że nie wypowiada on słów, ale podaje je wprost słuchaczowi niby materjalne cząsteczki. Jak płaskie, papierowe sylwetki nabierały życia w rękach Baltazara i stroszyły się ciepłym puchem, tak tutaj nieważkie, bezwymiarowe słowa narzmiwały namacalnym kształtem.

Tajemnica tego „czarnoksiężstwa” nie kryje się w mozolnym wyszukiwaniu, kunsztownym doborze wyrazów. Nic bardziej sprzecznego z temperamentem Kadena jak podobne przypuszczenia. Tłumaczy ją raczej charakterystyczny dla poetyckiego sposobu myślenia językowy brak syntaktycznych skostnień i spotęgowanie asocjacyjnej przedsięwziętości. Słowa jak atomy pierwiastków in statu nascendi przeciągają się wzajemnie ze wzmożoną energią, łączą się z sobą za każdym razem na świeżo, dając w efekcie to, co nazywamy ogólnikowo sugestywnością.

W potocznej jednak rozmowie nawet u najoryginalniejszych stylistów rzadko się spotyka tę cechę w tym stopniu, co u Kadena. Toteż z rosnącym zainteresowaniem słuchałem tych ż y w y c h słów, sprzęgających się z sobą w rytmiczne zdania, niby w muzyczne frazy, niepomyślnie, jakie mnie spotkają w chwili, gdy tę rozmowę zechcę odtworzyć. Wsunęty w wygodny fotel reagowałem narazie przedewszystkiem uczuciowo. Z ubolewającą pobłażliwością kiwałem głową nad dziecinnyim uporem ludzi, którzy koniecznie chcą wcisnąć artystyczną twórczość w foremki społecznych programów, a błoga czułość napelniła mi serce, gdy Kaden zaczął mówić o dobroci artystów.

— Trzeba to sobie raz jasno uświadomić — mówił — że artysta, jakimkolwiek byłby jako jednostka, społecznie jest człowiekiem niezmiernie dobrym, oddającym z siebie ogółowi wszystko co najwartościowsze. Doprawdy, można mu zaufać i dać pełną swobodę. Zaden z wielkich narodów od starożytnej Grecji po współczesną Francję, które ufaly swoim artystom nie wyszedł na tem źle. Przy maksimum swobody, jaką damy artystom, otrzymamy z ich strony maksimum społecznego pożytku.

— Uważa pan, że sztuka sama przez się posiada doniosłą wartość społeczną?

— Ależ naturalnie! I powiem panu jeszcze, że wielki artysta, a tylko o tych mówimy, nie o kabotynach, jest w tej samej mierze społecznikiem, co geniusz społeczny artysta. Zrozumiałem to obcując swego czasu z Piłsudskim. Panie, to jest olbrzymi artysta! Czy zna pan Jego mowę z okazji otrzymania doktoratu honoris causa w Krakowie? Tę mowę żywcem można wsadzić w jakiś szekspirowski dramat...

— Od sztuki — podjął po chwili — nie można niczego innego wymagać, jak tego tylko żeby była s t u k a. To jest dzieciństwo, powtarzam, narzucać artysty takie czy owakie programy społeczne.

— Kto komu stawia te żądania pożyteczności? — zawołał. — Kto komu! — i zerwawszy się z otomany szedł ku mnie groźnie pytajnikiem, niby w sierp zakrzywionym jataganem.

Ze spokojnem sumieniem czekałem wyjaśnienia.

— Słupi jasnowidzom! Czy nie tak?!

Oparł się na stojącym obok fotelu.

— Jakaż była w tem ciasnem społecznikowskim rozumieniu wartość „Madame Bovary”? A czy pan wie, że „niepożyteczność” tej powieści naprawiła po dziś dzień budżet Rouen, do którego ciągną tłumy turystów jako do rodzinnego miasta Flauberta?

„Madame Bovary” dająca przekrój życia małomiasteczkowej burżuazji z epoki Ludwika Filipa nie była publicystką z dziś na jutro, ale była przesycona pożytkiem wiecznym; a w literaturze nie istnieje inna wieczność jak aktualność. Pisarz, który o ile nie ma przeżyć się z najbliższem pokoleniem, musi być w stu procentach oddany aktualnej rzeczywistości. Porównajmy w polskiej literaturze „Trylogję” z „Faraonem”; kiedy pierwsza coraz bardziej traci na swej hucznej a krótkotrwalej popularności, wzrasta równocześnie znaczenie „Fa-

kolwiekby był wysoki, lecz pójdzie dalej, wywyż po ewolucyjnej linii artysty.

— Niewątpliwie.

— Otóż choć najistotniejsza część procesu doskonalenia się przebiega w podświadomości to przynajmniej pewne jego produkty w stanie surowym przekraczają próg świadomości, aby ulec ostatecznemu skryształizowaniu. Przypuszczam więc, że przynajmniej w ogólnym zarysie mógłby mi pan wskazać kierunek, ku któremu zdążać będzie pański trud artystyczny doskonalenia się.



JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI

Rys. E. Głowacki

raona” przesyconego pożytkiem wiecznym.

Byłem po brzegi wypełniony aktualnością Legionów i kiedy dziś spoglądam na swe dawniejsze dzieła, dzieła niedołęznego jeszcze artysty, myślę, że może najistotniejszą ich wartość tkwi właśnie w tej aktualności.

— Nazywa pan — rzekłem — swoje dawniejsze utwory dziełami niedołęznego artysty. Otóż pomijając tę zwięzłą surową formę oceny, do jakiej chyba jedynie panu ze względu na autorstwo, przysługuje prawo, ius modestiae...

— Mam wrażenie, że nigdy pisarz nie może powiedzieć, iż napisał dobrze — przerwał żywo Kaden.

— Ale może powiedzieć, że napisał lepiej. Tak właśnie rozumiałem pańskie słowa o „niedołężnym artyście”. Obiektywnie biorąc tkwi w nich stwierdzenie rozwoju pańskiego talentu. I rzeczywiście linja tej ewolucji zarysowuje się wyraziście od „Prochu” po „Mateusza Bigdę”. Tym dziełem nie zamyka pan jednak swej twórczości...

— Póki żyw, pisarz wie, że jest w poszczęciu nowego dzieła.

— Ani, mam to przekonanie, nie zamtrzyma się pan na tym ostatnim szczycie, jak-

— Rzeczywiście mogę panu ogólnie odpowiedzieć na to pytanie.

Dla prawdziwie udanego, „dołężnego” wysiłku prozy trzeba wpięć ostygnąć z siebie samego. Rozkopanie tego wnętrza, z którego ma wybuchnąć styl wymaga niesłuchanego wysiłku; trzeba rozdrażnić uczucia, zaognić je, przekrwic, aż pod naporem tej krwi wytryśnie wreszcie ż y w e s ł o w o.

Niech pan tylko pomyśli jak słowo, które jest naszym materialem artystycznej ekspresji, starło się i zużyło przez setki lat w setkach tysięcy ust. Trzeba więc je odmienić, trzeba je znaleźć nowem. Jakież olbrzymie trud! Jakież ogrom pójścia w głąb! Należy wszystkiej serdecznej krwi, niosącej nowe życie wyczerpanym powszedniością wyrazom! Praca tak zmysłowa, że nie dopuszcza już do opracowania kompozycji. Pisząc, muszę pracować wzrokiem, węchem, słuchem, żeby oddać to całe mirotiment otaczającego mnie świata. Nie pozwala to już na ogarnięcie kompozycji. I choć wykształcenie muzyczne kazalo mi od samego początku uwzględniać ją może staranniej, niż komu innemu, widzę, że zadaniu temu nie sprostałem w należytej mierze. Aby mu podołać, trzeba wpięć, jak powiedziałem,

ostygnąć z samego siebie. Ten moment ostygnięcia przychodzi u pisarza między 40-ym a 50-ym rokiem życia, kiedy wie, że posiadał już całą gamę uczuć, że rozporządza swobodnie zapasem zdobytych słów. Wtedy może przystąpić do kompozycji. Ja właśnie dziś zaczynam budować.

— Zainteresowało mnie, że w tej pierwszej fazie twórczości artystycznej podkreśla pan ważność somatycznego stosunku do rzeczywistości, który dla niektórych krytyków jest kamieniem obrazu. Dla pana zdaje się być całkiem świadomym postulatem artystycznym, nieprawdą?

— Jeśli mam panu odpowiedzieć na to pytanie, to niechże pan powie uczciwie po polsku — zirytował się Kaden. — Poczucie izmy. Myśląc o literaturze i związanych z nią zagadnieniach staram się odrzucić całą tę nomenklaturę; zabrnąłbym w nią jak w piach.

— Możliwe — rzekł bardziej pojednawczo — że dla krytyków jest ona bardzo pożyteczna i poręczna, ale mnie nie wolno się posługiwać tego rodzaju wytrychami. Muszę się odnosić o wiele prościej. No, więc jakżeż to będzie brzmielo po polsku? Potrafi pan chyba znaleźć wyrazy, które mi tę sprawę postawią przed oczy.

— Spróbuję. Podkreśla pan w procesie twórczym wyjętą pracę zmysłów i to nie tylko wzroku i sluchu, mających oddawać na przyznany prymat ale omal na równi do tyku i jeszcze rzadziej spotykanych — jak smaku i wchu. I rzeczywiście utwory pańskie świadczą o takim pansensualistycznym... to jest chciałem powiedzieć wszczem zmysłowym pojmowaniu rzeczywistości. Przypuszczam wobec pańskich poprzednich słów, że jest to realizowanie całkiem świadomego postulatu artystycznego.

— Więc o to chodzi. Niech pan przebiegnie myślą dzieje literatury, a przekonana się, że wszystko co w niej zostało, co przedstawia trwałą wartość, to dzieła, w których rzeczywistość została ujęta zmysłowo. Jedyni klasycyzm naprawdę zawsze żywy to zbliżenie się do rzeczywistości. Dlatego na przykład „Pan Tadeusz” przeżyje publicystykę „Książki Pielgrzymstwa” czy chociażby „Anhellego”. Powiedzmy sobie tak zwyczajnie, poprostu — na czem polega proces pisania? Otóż ktoś komuś opowiada o tem, co gdzieś kiedyś się stało. Kiedyś, to znaczy wczoraj albo dziś, ale nigdy jutro. Tak, nigdy jutro — podkreślił.

— Każda inna literatura — ciągnął — to krótko mówiąc — wymysł. Ten ktoś o kim się mówi, to musi być realna personalitę, konkretny człowiek, którego się czuje, widzi, słyszy, dotyka tak namacalnie, że czytelnik już na szóstej stronie powinien zapamiętać, że jest sobą a stać się mną. W przeciwnym razie ja go nigdy nie zwabię. Jeśli panu ktoś poda żółciutką, gorącą, świeżemi jajkami i masłem pachnącą jajecznicę, to pan zje z apetytem. Nieprawdą?

Przytaknąłem ochoczo.

— A jak się panu każą najeść bizmutu, to go pan zrzuci. Tak samo jest z czytelnikiem, trzeba mu dać strawę, na którą zareagowałby wszystkimi zmysłami.

— Przedstawia pan tego czytelnika bardzo sugestywnie, ale i trochę subiektywnie — zauważyłem.

— Czytelnik, o którym mówię, to syn-teza pomiędzy indywidualnością autora tem, co wie on o społeczeństwie i marzeniem o słuchaczu jakim być powinien.

— Poprzednio udzielił pan odpowiedzi na przytoczony głos jednego z krytyków. Czy zechce pan zająć stanowisko wobec pewnej kategorii czytelników, których wprowadzie przynęca zmysłowy obraz rzeczywistości, lecz którzy równocześnie zają się na czerń barw, w jakich ją pan maluje. Czy ten pesymizm jest wyrazem poglądów filozoficznych, zestroju psychicznego, czy artystycznej tendencji?

— I tę sprawę jak wiele innych przesłania niepotrzebnie olbrzymia chmura nauko-

wej nomenklatury. W rzeczywistości przedstawia się znacznie prościej. Moje serce, mój umysł kierują w tę stronę, która mnie najbardziej zadrażnia i boli. Boli mnie zło więc idę z nim walczyć i na tym momencie uczuciowego sporu koncentruje się mój wysiłek.

Czy zresztą nie zwrócił pan uwagi na to, że pesymizmem przeziąknięta jest cała wielka literatura świata? Trudno wyobrazić sobie bardziej pesymistyczny utwór jak Nowy Testament. Czy pan się kiedy nad tem zastanowił? Na tle mniejszej czy większej hołoty jedyna jasna postać — Chrystus. I cóż się z Nim dzieje — Iżą Go, biją,

poniewierają, a wreszcie krzyżują. Potworne!

— Jeżeli zaś chodzi o mój pesymizm, to gdzie go pan, czy raczej owi czytelnicy widzą? W „Czarnych skrzydłach”, w „Mateuszu Bigdzie”? Przecież ta książka — i w głosie Kadena odczułem jakby cichy żal o nieporozumienie. — Przecież ta książka jest pełna odświeżającego powiewu. Jakaż jest jej treść? Widzimy w niej potężnego człowieka, a równocześnie człowieka pierwotnego, brutalnego, chama, przedstawiciela tej jednej kategorii potężnych ludzi jaką Polska wytworzyła poza elitą wojskową. Człowiek ten nagle staje oko w oko z tem wszyst-

kiem, co wytworzyła kultura dziesiątków stuleci i prawdopodobnie w tem spotkaniu zawali się...

— Czy to przewalenie każe nam pan tylko przeczuwać, czy też ma zamiar pokazać je jeszcze? Dobiegały mnie bowiem wieści, że zniechęcił się pan do tadeuszowo-bigdowego kręgu postaci i zaniechał kontynuowania tego cyklu. Mojem zdaniem, mogłaby z tego tytułu zrodzić się pretensja słuszniejsza niż o somatyzm i pesymizm. Nie godzi się odbierać owej misy z jajecznicą w momencie największego rozmakowania się.

— Ja miałbym zaniechać kontynuowa-

nia Mateusza Bigdy?! Któż panu nagadał tych bredni! — Oburzył się. — Jest to dla mnie najulubieńsza z książek. Niech się pan uspokoi, nie zerwałem z kręgiem jej postaci; odbywam tylko w tej chwili plodów zmian.

— Rzeczywiście uspokoił pan moje obawy. A teraz jeśli pan pozwoli może w trochę innej materji...

— Dam panu dobrą radę — przerwał. — Największym obowiązkiem pisarza jest świeżość i oryginalność. Pan odprawia teraz rekolleksje z akademikami — niech pan raz nie napisze o Akademji i jej zadaniach widzianych z głębi akademickich foteli.

Stefan Essmanowski

ROMAN GINEYKO

# ARYSTOKRATYZM POJĘĆ WE WSPÓŁCZESNYM MALARSTWIE

Popularnym dzisiaj tematem jest sprawa niepopularności plastyki współczesnej. W prasie, wśród publiczności, wśród malarzy mówi się dużo nie o pojęciach malarskich lecz o ich arystokratyzmie, — że powstają tylko dla speców, dla wtajemniczonych. Padają oskarżenia. Rodzą się protesty. W temperaturze zamętu, przemycane są często zwykłe komunały, nietylko w dziedzinie twórczości malarskiej, lecz również w dziedzinie poglądów na sztukę.

Oto jak różnorodnie oświetlają dzisiaj postawę obrazu.

Jedni, patrząc na obraz pod kątem przedwojennego prestige'u dla malarstwa stalugowego i kultu dla malarzy nawiązują do dawnych tradycji. Drudzy, redukując egzystencję obrazu do minimum, powołują się na styl epoki, architektury, wnętrza — do nich naginając charakter malarstwa. Ostatni wreszcie oszczędność środków, syntezę wyrazu — współczynniki dzisiejszego stylu — przenoszą na wewnętrzną wymowę malarstwa: na świat uczuć i myśli, sprowadzając „użyteczność” obrazu do potrzeby tworzenia.

Nie od rzeczy będzie zrobić tu pewien ogólny przekrój pojęć dzisiejszego malarstwa stalugowego i pokazać z czego one powstały i od czego są dzisiaj zależne.

Łatwo przeprowadzić w malarstwie pewne granice między pojęciami arystokratycznymi i pojęciami dostępnymi dla ogółu. Treść anegdotyczna, narracyjność tematu, życie wizji przedmiotu — te elementy przemawiają do każdego. Są obiegowe: ilustrują życie, spełniają rolę informatora. Nie do każdego natomiast przemawiają pojęcia w wymiarze estetycznym, psychologicznym i t. p., jak np. — układ kompozycyjny obrazu, równowaga walorów barwy, rozmieszczenie w obrazie elementów ekspresji, bezpośrednio malarskiego podejścia i t. d. Ażeby te pojęcia stały się wartościami zrozumiałymi potrzebne są: przygotowanie estetyczne, intuicja artystyczna, kultura plastyczna i umysłowa. Nie każdy je posiada. Dlatego też rozumiałem stając się taki stosunek: czem więcej w obrazie elementów o charakterze krystalizacji plastycznej, estetycznej, psychologicznej, intelektualnej — tem mniej obraz posiada „konsumentów” w masach. Co dla malarzy jest proste, jasne, oczywiste, gdyż poparte kulturą plastyczną, doświadczeniem — to dla przeciętnego ogółu często bywa trudne, skomplikowane, nabrzmiałe arystokratyzmem pojęć.

Niektóre niezrozumiałe pojęcia, stabilizując się, stają się z czasem dostępne, jasne — inne pozostają zawsze na pewnym dystansie. Stabilizacja pojęć przychodzi powoli, w miarę ich dojrzywania, „dochodzenia”. Awangardzie zazwyczaj przeciwstawiają nowym pojęciom dawne — ongiś też rewolucyjne. Nowe pojęcia z biegiem czasu podlegały znów stabilizacji... I tak w kółko.

## CHARAKTER DZISIEJSZEGO MALARSTWA.

Malarstwo dzisiejsze, w poszukiwaniu nowej koncepcji piękna spokrewnia się w dużym stopniu z matematyką i filozofją. W formułowaniu myśli plastycznej nowego malarstwa, występuje analogiczny mechanizm z tym, który rządzi zasadami matematyki i filozofji. To też nowej formy plastycznej nie można mierzyć aparatem dostrojonym do odbioru dawnych pojęć, dążeń, wzruszeń i ideologii — wymaga ona zupełnie innego podejścia. To podejście zamyka się w kręgu zainteresowań często bardzo specjalnych. Sprowadza się u jednych do zagadnień koloru, u drugich do układu przedmiotów w kompozycji obrazu, jeszcze u innych do sublimacji elementów ekspresji, formy, faktury, światła i t. d.

Nastawienie na jedne wartości, podporządkowanie pewnym ogólnym zasadom w kształtowaniu formy malarskiej, zachowuje często względem innych wartości stosunek obojętny, często nawet negatywny.

Dzisiejszy front poszukiwań w plastyce pracuje bądź na tych samych, bądź na róż-

nych płaszczyznach pojęciowych. Niekiedy poszczególne płaszczyzny przeciwstawiają się sobie biegunowo. Stąd rozgałęzienia kryteriów malarskich, różnice w podejściu, stąd odchylenia i ich relatywny charakter.

## BUNT FORMY PRZECIW TREŚCI.

Współczesne natężenie skomplikowanych wartości artystycznych w plastyce, współczesny arystokratyzm pojęć malarskich jest wypadkową buntu formy (w szerokim pojęciu) przeciw treści. Bunt ujawnił się w dwóch postaciach: na własnych podwórkach malarskich i w przeciwstawieniu się konkurentom malarstwa — kinu, fotografii, reprodukcji i t. p. W pierwszym wypadku, faworyzowanie tematu, wysługiwanie się jemu, eksploataowanie formy na korzyść treści — wprowadziło powtarzanie tych samych elementów treści, a następnie zrodziło nudę i banalność. W drugim, — współczesny produkcjonizm techniki, ciągła podaż ułicy, banalizowały w dalszym ciągu narracyjność treści i życie wizji przedmiotu, pogłębiając brudnię nudę w malarstwie. W ostatnich dziesiątkach lat, nuda zatryumfowała w sklerotycznych „salonach” Paryża i innych centrach sztuki. W rezultacie: obniżył się tam poziom malarstwa, osłabły ambicje twórcze, przycisnął zapał, zapanowała wyrobność.

Artysta, zdając sobie sprawę, iż siły i żywotności talentu nie charakteryzuje tylko farba, układ, wyraz, lecz że może tu decydować również ciągła powtarzalność, której następstwem bywa skostnienie i banalność — przeciwstawia się treści. Uciekał od niej. Wysiadał na plan pierwszy wartości, stojące poza tematem, poza anegdotą. Zamykał w obrazie żywe wciąż i płynne zagadnienia malarskie. Zagadnienia te, podporządkowując się psychice naszej epoki, tradycjom indywidualizmu, tempu, produkcjonizmowi — rozrastały się i rozciągały front swych poszukiwań. Ciągły rewizjonizm pojęć, ciągłe rozgrywkę o najbardziej istotne idee w sztuce, przechodząc z życia na paletę, tworzyły w następstwie coraz nowe kierunki, definiowały nowe pojęcia plastyczne.

## NIEPOPULARNOŚĆ PLASTYKI.

Nie możemy dzisiaj wysuwać dawnych formulek popularności lub niepopularności plastyki, powołując się na odległe wzory. Współczesna epoka daje całkiem odmienny i bardzo zawiły wykres w przegrupowaniu pojęć i przewartościowaniu kryteriów na wszystkich frontach sztuki.

STANISŁAW PIĘTAK

# POWRÓT

W wagonie upalny świat.  
Nikt drżącego szeptu rąk twoich nie słyszy —  
z ust snują się karminowe płateczki,  
w błękitniejącej ślinie śpiewa wiatr.  
Nie mów —  
błogosławią piersi polnej, makowej ciszy.

Jak wyrazić ten stukot krwi, radość ramion, nóg! —  
drżą szyny,  
lokomotywa pędzi w powietrzu,  
srebrem dym.  
Wirują modre zwierciadła,  
w nich drzewa, białe obłoki, dym zieleni.

Nie odczepić rąk od widnokągu —  
płacz nikt chyba nie słyszy.

W śniadem oknie jak krucho! —  
serce przyciśnięte do szyby.  
Nie istnieje czas.

Każdy wycinek nieba całować,  
o oczy —  
za szumem żyt  
włosy dziewczyny.

Jeszcze tysiąc słupów,  
ku czołu nadpłynię biały mit.  
Nad miedziami rozsnują się oczy krów.

Stać będziesz długo w nich,  
a gdy księżyc najpiękniejszą podróż obłoków

na niebie wypłomieni,  
ręce nawznak...

Kto mówi o krwi? —  
jej niema,  
jest tylko zapach ziemi.

Słuchać całą noc.  
Płatki szumu —  
a!...

Nie z tego świata jest żalost  
roz tęsknionych psów.

## PRZYCZYNY NIEPOPULARNOŚCI.

Malarstwo współczesne w swem napięciu i potencjale twórczym włączone jest w prąd dzisiejszego dnia. Nastawione na tempo, konfrontowane z produkcjonizmem epoki. Nie znaczy to ażebyśmy produkowali za dużo. Niel. Znaczą, że podporządkowujemy się i my również tej wewnętrznej energii, która nasila epokę w sensie urabiania pojęć o wartości, wzajemnego oddziaływania jednostek i narodów, psychicznego i duchowego podchodzenia do sztuki.

Kształtując dziś nową formę malarską, ulegamy pojedynczo i zbiorowo wpływom:

tych kierunków i nastawień, które promieniują z ognisk supremacji sztuki. Pozbyć się tego promieniowania nie jesteśmy w stanie. Stoi tu na straży wszechmocna technika współczesna. Ona na swój sposób ułatwia podaż pojęć (czasopisma, lokomocja, kino) i zwiększa jej tempo. W malarstwie, konsekwentnie za techniką, przyspiesza swój kurs stabilizacja wartości, kierunków, nastawień. Jedne kierunki i nastawienia zamieniamy innymi. Nowe przychodzą z wcześniej, nie pozwalają ugruntuować się poprzednim. Te i tamte nasycają rynek niekompletnie — asymilują je tylko fachowcy. Nawet w t. zw. sferach kulturalnych, trafiają na niezrozumienie, rodzą niechęć, — coż dopiero w masach.

Stajemy wobec takiego zjawiska. Plastyka wymaga coraz więcej czasu, kultury, wiedzy fachowej, ażeby się do niej zbliżyć, zapoznać z nią, rozmiłować w niej — odbiorca rozporządza coraz mniejszym czasem i mniejszą wiedzą na danym odcinku, gdyż wydzierają mu je — życie współczesne, oraz inne dziedziny wytwórczości artystycznej, naukowej, technicznej, produkujące z tą samą intensywnością i wydajnością co my.

Tworzy się odchylenie dwóch biegunów. Po jednej stronie stoi, pełen szlachetnego zapалу plastyk — po drugiej wyluskany z czasu, możliwości zbliżenia do sztuki, często chęci — konsument.

Jak nagiąć te dwa bieguny? Czy można je zbliżyć, przychylić? — nasuwają się niepokojące pytania.

Proponują niektórzy: zniwelować poziom malarstwa do poziomu mas; podawać masom plastykę, w której dominowałyby wartości nieskomplikowane, dostępne dla wszystkich, strawne.

Jeżeli będziemy podsuwali społeczeństwu ten gatunek malarstwa, który w pojęciu plastyki miałyby charakter niewybredny, prostacki, gdzie jednym z zasadniczych elementów byłby zanik kultury plastycznej, to zgóry można powiedzieć, takie stanowisko sprowadziłoby plastykę do roli, w której kurczenie się ambicji twórczych, równowagi się upadkowi malarstwa.

Musimy szukać skuteczniejszych metod wzajemnego zbliżenia. Musimy, z jednej strony, podnieść kulturę plastyczną społeczeństwa, odpowiednio kształcić młodzież w szkolnictwie, stwarzając muzea, galerie sztuki, udostępniając wydawnictwa artystyczne, literaturę z zakresu plastyki, tą drogą pokazując, jakie idee i kierunki kształtowały naszą epokę malarską. Z drugiej strony — tak kierować młodym pokoleniem malarzy, ażeby do plastyki podchodził nietylko pod kątem rzemiosła, fachowego nastawienia i estetyzowania na jednym odcinku, lecz ogarniając całość kształt życia, żeby również wnosili do malarstwa natężenie tych pierwiastków duchowych, które w przyszłym pokoleniu, będą decydować, być może, o postawie jednostki w społeczeństwie. Nie mam tu na myśli podsuwanie jakiegos programu malarskiego lub ideologii kapliczkowej — myślę o tym zapale wewnętrznym, który cechował każdą świadomą twórczość człowieka. Jaki jest wykres tego zapalu — trudno powiedzieć.

W każdym razie, jeżeli malarstwo ma być tą konieczną formą, co łączy ludzi na wspólnych terenach myśli i uczuć, to nie można sprowadzać go tylko do roli zwykłego informatora lub ilustratora wydarzeń, zamykając w najlepszym razie, zasięg ambicji artystycznych w ramach eklektyzmu. Chociaż się do zwykłego komunału lub przeciwstawiając, naprędce spreparowany szablon, złożonej, trudnej sytuacji, jaka się wytworzyła w świecie artystycznym — nie ożywia wimy tą drogą naszych pracowni atmosferą zapalu a społeczeństwa nie nawrócimy do sztuki.

Jedyną twórczą potęgą w malarstwie może być tylko niesłabnąca wola, wielostronne podejście do nurtujących zagadnień oraz czujna postawa artysty wobec dnia dzisiejszego.

Czy one nawiążą do „ideału” człowieka, czy do stylu epoki, czy wytworzą wreszcie całkiem odmiennie wartości — na to odpowie życie.

J. E. SKIWSKI

## LITERATURA NARODOWA W DNIU DZISIEJSZYM

## „LITERATURA POWINNA...”

Dużo się u nas rozprawia się o tem, jaka literatura być „powinna”.

Zastanawiałem się nieraz nad znaczeniem tego rodzaju nawoływania. Jaki ma sens to wyznaczanie dróg w literaturze? — Należy tu, sądzę, rozróżnić dwie zasadniczo odmienne postawy krytyka czy publicysty, mówiącego o idealnym obrazie literatury. Raz wyrażają takie zdania naiwną wiarę w to, że procesy powstawania literatury podlegają ścisłej kontroli woli, że można je regulować w ten mniej więcej sposób, jak się reguluje pracę kancieisty czy maszyny. Krytyk jest tu czemś w rodzaju poganiacza. Literatura powinna pójść w tym a nie innym kierunku — mówi się z tą samą pewnością siebie, z jaką szef biura wyznacza pracę swoim podwładnym. Jest to stanowisko tak naiwne i prymitywne, że nie warto się nad niem zastanawiać. Wystarczy zauważyć, że tam gdzie pisarz poddaje się takim narzucanym sobie zewnętrznym wskazaniom, tam wogóle przestaje być pisarzem. Tego rodzaju despotyczna taktyka wywołać może najkrajbardziej zgubne skutki, narzucając pisarzom sztuczną selekcję skojarzeń i wyobrażeń, tamując procesy twórcze, w rezultacie prowadząc literaturę wprost do grobu.

Ale można mówić o pewnym „pożądanym” stanie czy kierunku literatury niekoniecznie w sensie tak ciasnym i barbarzyńskim. Można wyrażać indywidualne w tej sprawie życzenia, wyzbyte całkowicie złudzeń co do możliwości bezpośredniego efektu; można pragnąć, aby wysiłki literatury poszły w tym a nie innym kierunku, aby zaprowadził w niej ten a nie inny duch. W ten sposób każdy żywy krytyk pisze o literaturze. Jego ukrytą i najdroższą nadzieją jest, że słowa jego znajdą jakiś oddźwięk, że staną się dla kogoś podniecią, że ktoś przejmie się nimi, weźmie je pod rozwagę, że wyznaczą nowe drogi skojarzeń, poruszą indywidualności pisarskie, otworzą pisarzom nowe horyzonty, popchną ich w kierunku nowych obserwacji. Nadziei na takie pośrednie i naturalne przenikanie myśli krytycznej w głąb świata pisarskiego nie wyrzeknie się żaden krytyk, a gdyby raz uwierzył, że to oddziaływanie jest wogóle niemożliwe, napewno przestałby być krytykiem.

PIERWIASKI SPOŁECZNE —  
LITERATURA NARODOWA

Wśród postulatów, które zgłasza się pod adresem naszej literatury zajmuje wybitne miejsce postulat uspołecznienia. występujący często łącznie z postulatami uwzględnienia w literaturze momentu odzyskania niepodległości i budowania nowej państwowości. O ile te postulaty wyrażane są sumarycznie i „nakazowo”, o tyle nic nie znaczą i nie mają żadnego konkretnego sensu. Należą do niego dopiero z chwilą, kiedy krytyk, przez analizę poszczególnych utworów wykazuje słabe strony, załamania, braki psychologiczne, wyniki skutkiem nieprze-myślenia owych ważnych spraw społeczno-państwowych. Taka praca krytyki jest potrzebna, nawet konieczna. Ale należy ściśle ją odróżnić od całej publicystyki „powinnościowej”, to zadzierzystej i brutalnej, to znowu perswadującej i bolejącej, ale w skutkach zawsze jałowej.

Przeobrażanie się literatury w kierunku nowej tematyki, wejścia w strukturę psychiczną i społeczną dzisiejszego człowieka odbywać się istotnie „powinno”, ale jest to proces bardzo złożony, któremu krytyka jedynie zdalnie i dyskretnie może pomagać. Tej dyskrekcji ogół krytyków jest dość daleki; jeśli krytyk powstrzymuje się od „rozkażów”, — to i tak dobrze. Naogół utrzymuje się stanowisko pośrednie pomiędzy „rozkażem” a prawdziwie wytycznym. Brutalność pozornie złagodzona łatwiej się przesuwa. Z tem większą uwagą trzeba śledzić jej posunięcia.

## PARADOKS OBROTU

Zdarza się tak, że ci sami, którzy wołają o uspołecznienie literatury i ściśle jej zwią-

zanie z zagadnieniami odbudowy państwa polskiego, pragnęliby zdobyć dla niej najlepsze miejsce w wyścigu międzynarodowym. Oto ambicje trudne do uzgodnienia!

Tutaj muszę wypowiedzieć parę obserwacji zasadniczych.

Jest rzeczą godną uwagi, że dzieła, które stały się podwaliną sławy różnych literatur narodowych, nie głośły glori swych narodów. Można by raczej powiedzieć z dużą słusnością, że były to dzieła nasiąknięte pesymizmem, abnegacją, dzieła — jak to dzisiaj lubi się mówić — „rozkladowe”.

Balzac pokazał nam Francję hochstaplerów, Stawickiadę *avant la lettre*. Francja Flauberta — to Francja kretyków, pyszałków i błaznów. Stendhal — dał nam Francję romantycznych nicponiów, awanturników, histeryczek i despotów. De Vigny, Baudelaire — byli natchnionymi piewami pesymizmu. Nawet nacjonalista Barrès dał nam obraz człowieka dręczonego zewnętrznymi warunkami w wojnie z „barbarzyńcami” — to jest z otoczeniem, walczącego o konstytucję dla własnej jaźni. I ten Barrès rozslawił imię Francji, a nie autor „*Chronique de la grande guerre*”. Proust, pisarz najbardziej współczesny, wprowadził nas już w samo sedno analizy po której kamień na kamienu nie zostaje, a człowiek schodzi do roli materiału prosekatoryjnego. Francja Mauriaca — to Francja obłudników, egoistów, fałszywych dewotów i potępieńców, szukających światła.

Goethe nie jest dla Europy autorem „*Hermiana i Dorothei*”, tylko autorem „*Fausta*”, i „*Werthera*”. Rosja Dostojewskiego, fascynująca świat — to prawdziwy dom warjatów. Szekspir, to przedewszystkiem autor „*Hamleta*”, praojca wszystkiego co „rozkladowe” indywidualne, defetyczne, neotwórcze, zatrute — niewątpliwego patrona Celine’a.

Może to dziwne, ale tak już jest, że poza Ilijadą i dramatami Wagnera, największe arcydzieła ludzkości opiewały nie czyn i zdobywość człowieka, ale sceptycyzm, upadek, rozkład, dno. Nie będę zastanawiał się nad przyczynami, chodzi mi tu bowiem o inną stronę zagadnienia.

Chcę zwrócić uwagę na pewien paradoks międzynarodowego obiegu literatury. Na to mianowicie, że wszystkie te dzieła, będące w sumie wyrazem rozpaczy, rezygnacji, pesymizmu, trawiącego sceptycyzmu — właśnie w obiegu międzynarodowym stały się podporami wielkości i powagi poszczególnych narodów. Kiedy dzisiaj przyjeżdża do Warszawy p. Barthou, to jego nieodstępnym towarzyszem podróży jest duch Balzaków, Flaubertów i Stendhalów. I jeżeli do tego co powie p. Barthou przywiązujemy szczególną wagę, to nie tylko dlatego, że wynika to z konjunktury politycznej, ale również dlatego, że przez usta męża stanu przemawia wielka tradycja kultury francuskiej. Flaubert wraz ze swoim *Bouvardem i Pecuchetem*, z półidiotą panem Bovary i nieśczętnicą jego żoną, jest wiecznym ambasadorem Francji, narówni, a może wyższym stopniu niż wszyscy jej mężowie stanu razem wzięci. I nie przeszkadza temu wcale fakt, że Flaubert głosi pesymizm, niewiarę w życie i gorzką rezygnację.

Powiem więcej; gdyby teraz powstała we Francji literatura „krzepiąca”, zwrócona przeciw rozkładowemu działaniu Stawickiady, literatura „odrodzenia narodowego”, to niewątpliwie byłaby to literatura mająca znaczenie i pożyteczna w obrębie wszystkich departamentów Republiki Francuskiej, ale nas niewieleby obchodziła. Mogłaby budzić „żywy oddźwięk sympatii” wśród „przyjaciół Francji”, których nigdy w Polsce nie zbraknie, ale pożytek z niej byłby dla nas niewielki. Dostałaby piękne polityczne brawo, ale nie więcej. Usłużna propaganda, wierna swej tradycyjnej niezdarności, rozdymałaby ją zapewne do niebywanych rozmiarów, posypałaby się również podniecie jak nudne broszury, gloryfikujące „zbawienny zwrot” — ale byłyby to pieniądze rzucone w błoto. W dalszym ciągu bowiem dla narodów europejskich ambasadorami Francji zostaliby ci dawni niepotrzebni

„chorzy”, przeżarci kulturą i sceptycyzmem pisarze.

Literatura o bardzo mocnym i praktycznym nastawieniu społecznym może mieć silny obieg wewnętrzny, ale słaby międzynarodowy. W ten sposób to co było obelgą rzuconą własnemu narodowi, wyrazem rezygnacji pesymizmu i zwątpienia — powraca w obiegu międzynarodowym jako czynnik pozytywny, twórczy i budujący.

LITERATURA NARODOWA  
CZY MIĘDZYNARODOWA?

Przy panującej u nas skłonności do wyciągania pośpiesznych wniosków, to co powiedziałem, mogłoby się spotkać z komentarzem, że prawdziwa dobra literatura jest z istoty swojej międzynarodowa, że dopiero zwrócenie się do człowieka „jako takiego” zapewnia jej wagę i znaczenie.

Byłoby to zasadnicze nieporozumienie, które śpieszmy uprzędzić. Powróćmy do naszych przykładów. Na to, aby dać tak wyczerpujące i przenikliwe studium chciwości ludzkiej, pogoni za pieniądzem i pewnej, że tak powiem, metafizyki karierowiczostwa, na to trzeba było pisarzowi właśnie Francji napoleońskiej i ponapoleońskiej, francuskiego skąpstwa, sybarytyzmu, i tej wielkiej wiedzy życia, zazdrośnie gromadzonej z pokolenia w pokolenie, która tam właśnie a nie gdzieindziej rozwinęła się tak wspaniale. Balzakowi potrzebna była ta atmosfera, te dane, ta historia, aby wysnuć z nich swoją „*Komedję Ludzką*”. I dla tego zdanie że „*Komedja Ludzka*” Balzaka jest literaturą nawszkroś narodową, że wyrosła z gleby francuskiej będzie najzupełniej słuszne.

Dostojewskiego zajmował szczególnie problem miłości własnej człowieka. Nikt tak jak on nie wgrzył się w mechanizm upokorzenia, spowiewanej godności ludzkiej, narastającego pragnienia zemsty i wyrównania krzywdy. I tu znowu da się powiedzieć to, co przed chwilą powiedziałem o Balzaku. Nigdzie poza Rosją nie znalazłby pisarz tych warunków laboratoryjnych, które dopiero pozwalają na taki opis zjawisk, na takie jego pogłębienie i zanatomizowanie, jak to widzimy w dziele Dostojewskiego. Skład etniczny i socjalny Rosji, jej historia, jej atmosfera były tu warunkiem niezbędnym, bez którego niesposób byłoby dojść do tych wyników analizy psychologicznej, które osiągnął twórca „*Zbrodni i Kary*”.

Poprzestańmy na tych dwóch przykładach. I teraz zapytajmy. Jak, wobec tego, wytłumaczyć fakt, że literatura tak ściśle związana ze środowiskiem narodowym, tworząca wewnątrz tego środowiska, czerpiąca z niego soki żywotne, staje się jednocześnie literaturą międzynarodową? Jak doświadczenia zbierane na ograniczonym terenie i na tym tylko terenie możliwe mogą sprawdzać się na innych terenach i mieć znaczenie powszechne?

Odpowiedź na to jest prosta. To, co jest u pisarza ściśle narodowe, nie dotyczy samej treści i istoty zagadnień, ale raczej ich natężenia, miejsca, które zajmują w życiu, proporcji do innych czynników.

Karjerowiczostwo, skąpstwo, rozmach awanturczy — istnieją również poza Francją, ale trzeba było być Francuzem, aby je ująć tak głęboko, jak to uczynił Balzac. Dramat miłości własnej istnieje tam wszędzie, gdzie jest człowiek i doświadczenia Dostojewskiego sprawdzają się znakomicie poza Rosją. Ale trzeba było Rosji wraz z tem co zawiera jej psychologia i historia, aby eksperyment osiągnął niezbędną wyrazistość, aby nabrał tak dużo „ciała”, by zaważył na myśli ludzkiej i stał się dla niej zdobywcą. Odkrycia Balzaka i Dostojewskiego, choć wysnute z doświadczenia możliwego tylko na określonych terenach narodowych, mają zasięg i znaczenie międzynarodowe. Niema zasadniczej sprzeczności pomiędzy narodowym charakterem poszczególnych literatur i ich międzynarodowym znaczeniem. Obserwujemy tu raczej ścisły związek: tylko to, co opiera się o konkretny warsztat laboratoryjny, którym dla pisarza jest jego środowisko narodowe, wydaje dzieła, mające istotne znaczenie międzynarodowe.

## OSOBLIWOSC NASZEGO POŁOZENIA

Położenie Polski jest jednak zupełnie odmienne. My nie wydaliliśmy literatury narodowej w tym sensie jak inne narody. Narodowy charakter naszej literatury ma sens zgoła inny. Była to — porozbiorową mam przedewszystkiem na myśli — literatura polityczna. Zagadnieniem centralnym nie był, jak u tamtych pisarzy, człowiek, analizowany narządami i metodami narodowymi, ale sprawa czysto praktyczna: co należy zrobić dziś, aby mieć zapewnione jutro. Pisarz zajmował się nie tem, co się w człowieku powtarza, co jest jego sferą niejako przyrodzoną, ale tem, co jest związane z chwilą, co przynosi historia, co jest zmienne, co ma znaczenie tylko w obrębie określonego środowiska narodowego i określonej epoki. Rzecz prosta, tam, gdzie występuje na widownię geniusz taki jak Mickiewicz, tam pękają obręcze i poprzez wieszczanie i apostołstwo przedziera się jasnowidzenie myśliciela i wielkiego znawcy człowieka. Przedziera się, nie stając się jednak punktem centralnym. Nie pasja poznawcza, lecz sprawa sumienia narodowego i tu ostatecznie biorą górę.

I dlatego, o ile narodowy charakter literatury innych narodów nie przeszkadzał — owszem pomagał — zając im wspaniałe stanowisko międzynarodowe, o tyle charakter narodowy naszej literatury stał się zaporą na drodze jej międzynarodowej ekspansji. Pozostaje to prawdziwe aż do ostatnich czasów. Jakże pouczające jest porównanie roli, którą na forum międzynarodowym odgrywa mała Norwegia — i mocna Polska. Każdej książce Hamsuna towarzyszy fala szczerzego zainteresowania; czyż można wymienić — mimo sztucznych podpórki propagandy — jednego pisarza naszego, który zdobyłby sobie pozycję analogiczną, a choćby zbliżoną?

Odpowie mi na to ktoś, że dzisiejsze pokolenie pisarzy odżęgnywa się od „polityczności” i wieszczania, które charakteryzowały nasz cały wiek XIX.

W istocie, nasza dzisiejsza literatura bardzo jaskrawo zrywa z niektórymi tradycjami romantyzmu, stara się zająć nowe i oryginalne stanowisko. Jak o tem już pisałem, operuje się głównie dwoma środkami: krańcowym zbrutalizowaniem, tem niebezpieczniejszym, że uprawiają je pisarze o wybitnym talencie, zbrutalizowaniem, zmierzającym do zupełnego unicestwienia wszelkiej kultury intelektualnej, stawiającem ołtarze odruchowi nerwów i mięśni przeciw reakcjom mózgu i serca. Literatura pisana dotykiem, powonieniem i skórą, jakby z wyłączeniem nie tylko mózgu, ale zmysłów wyższych: wzroku i słuchu. Towarzyszy temu przeraźliwe zwężenie problematyki psychologicznej. I z drugiej strony, — o czem też pisałem — kult jubilerskich eksperymentów językowo-pojęciowych. Hasło: „byle dalej od literatury tendencyjnej i budującej” przerodziło się w zamilowanie do lamigłówek, w tendencję do unikania wszystkiego, co zawadza o sprawę wiecna, w odrzucie do wielkich problemów człowieka. I ta literatura również „nie weźmie”.

## ZWIĄZEK ISTNIEJE ALE INNY

I dziś również próbują uleczyć literaturę przez zastrzyk społecznego utylitarysty, „narodowienia” jej i „upaństwowienia”. Nie potrzebują dodawać, że to remedium wydaje mi się najniewłaściwsze. Związek literatury z naszym odrodzeniem państwowym istnieje — to pewne — ale jest to związek, że tak powiem, odwrotnie proporcjonalny. Rozumuje się zazwyczaj tak. Skoro Polska odzyskała niepodległość, to ten fakt powinien w pewien sposób odbić się w literaturze. Najprostszą postacią tego odbicia będzie poprostu przeniesienie do literatury zagadnień państwowo-społecznych.

Pierwiastki państwowe i społeczne pisarz może zobaczyć tylko poprzez człowieka — i wtedy tylko rezultaty jego pracy będą miały znaczenie ogólne i zapewnią nam miejsce w rodzinie narodów. Nie nastawienie praktyczne, nie apostołowanie „budzenie sumień” i spowiadanie społeczeństwa, — ale studjum

duszy ludzkiej, kierowane pasją poznawczą, naturalnie tej duszy która jest, którą mamy niejako przed oczyma: duszy nowoczesnego Polaka, bo inne studjum obracałoby się w sferze abstrakcji.

Zgadzam się ze zdaniem, że odzyskanie bytu niepodległego i wciąż potężniejszą naszą państwowość musi mieć równoważnik w dziedzinie literatury. Ale tym równoważnikiem niepodległości polityczno-państwowej, może być w literaturze — choć to zakrawa na paradoks — radykalne wyeliminowanie pierwiastków dydaktyczno-społecznych, tak istotnych dla literatury ubiegłego wieku. Można to jeszcze jaskrawiej sformułować, że jedynym sposobem utrwalenia w literaturze naszej potęgi mocarstwowej jest jej radykalne usunięcie jako tematu literackiego. Wtedy dopiero zaczniemy być dla świata „ciekawymi”, kiedy nasza literatura przestanie być wzruszającą lekturą pour les amis de la Pologne, kiedy narówni z innymi wielkimi narodami — podejmie swoje odwieczne zadanie, którym jest i będzie odkrywanie człowieka, ustawiczne zbliżanie się do rozwiązania jego zagadki. Zadanie, podjęte na naszym gruncie, naszymi metodami. Zadanie konwulsje propagandowe wysiłku tego nie zastąpią.

#### PORZĄDEK SIĘ ODWROCIL

Literatura była w Polsce wychowawczynią narodu. Rolę tę spełniła w sposób bohaterki; stając się wychowawczynią, zubożyła i okroiła swoje wzloty, oddając je ofiarnie na służbę publiczną. Stała się wzniosłą publicystką, wyrzekając się dla zdobycia bytu narodowego swych największych ambicji, a uczyniła to w sposób naturalny i instynktowny. Pisarz był wodzem narodu, a nie będzie przesadą twierdzenie, że literaturą inspirowała politykę. Polityka była funkcją literatury.

Jakże inaczej jest dzisiaj. Dziś nasza państwowość tak szybko, niemal w oczach potężniejąca, może być wzorem dla literatury. Kiedy niedawno Warszawa gościła ministra spraw zagranicznych Francji, wyculiśmy wszyscy, że jest w tym akcie kurtuazji międzynarodowej jakaś nowa zupełnie nuta niezależności, która rosła oddawna, ale teraz dopiero zabrzmiała potężnie i czysto. W ten sposób, na tej stopie, dawno już Polska nie rozmawiała z Francją. Przyjaźń — tak; sojusz — tak; ale przyjaźń równego z równym, sojusz dwu potężnych sprzymierzeńców. Oto jest właśnie ten duch, ten ton, którego nam trzeba w literaturze. Tak jak w polityce dawno przelaliśmy tradycje jałmużnicze, jak odesłaliśmy do rupieciarni logendę o Polsce opuszczonej, melanholicznej i boleściwej, podobnie musimy uczynić w literaturze, która tym razem dociągnąć się musi do rozmachu naszej polityki, tak jak dawniej ona politykę pchała na wyszyny. Tego jednak wysiłku — obym się mylił — nie widzę. Ani wciąż pokutujące tradycje dydaktyczno-społeczne, ani snobizm rzemiosła, zresztą nieraz mogący się wykazać pięknymi zdobyczami, ani programowe zagłuszanie wszelkiej subtelniejszej (za trudną!) problematyki gwałtownym brutalizowaniem — nie są tym, co mogłoby zadziwić tym mocnym tonem, który nas dochodzi, ale wciąż tylko od strony państwa.

#### TROSKI SPOŁECZNIKÓW

Mam przed oczyma obraz Zeromskiego, przemawiającego lat temu chyba z piętnaście na zjeździe literatów. Jaka troska brzmiała w jego słowach, w jego głosie! Pamiętam jedno oderwane zdanie. Brzmiało ono tak: „...co damy Śląskowi?... — A sens zdania, jak to odtwarzam ze wspomnienia, był ten, że oto mamy nową, przez wieki od macierzy oderwaną dzielnicę, powracającą do wspólnego z nami bytu państwowego, którą musimy wykarcić nie tylko chlebem, ale i słowem. Co dać tym ludziom? Jakim słowem do nich przemówić? Czego nauczyć? Taka była troska Zeromskiego, którą zwierzył obradującym literatom. Troska symboliczna, wciąż powracająca w naszej publicystyce, wciąż nekająca lepsze sumienia pisarskie i obywatelskie. Znam komitem jej wyrazicielem był w ostatnich czasach ś. p. Adam Skwarczyński, wielki obywatel, płomienny pisarz.

Zagadnienie jest ważne i domaga się rozstrzygnięcia.

Co do mnie, to zgodnie z zajęciem tu stanowiskiem, radbym widzieć sprawę literatury dydaktyczno-obywatelskiej całkowicie wyo-

drebnioną z zagadnienia ściśle literackiego. Wątpliwości nie ulega, że nam, i to nagwałt, potrzeba dobrej książki o naszych wielkich wodzach, o zadaniach obywatela, wszelkiego rodzaju „wiedzy o Polsce” — tam gdzie to możliwe, udostępnionej beletrystycznie. Taka literatura odegra rolę szczególnie ważną o kresie cementowania się naszej państwowości i jest czynnikiem, na który najbardziej zależy nam.

HERMINJA  
NAGLEROWA

Dzień targowy wczesnym, zamglonym rankiem rozdziwiał się po bruku furami. Czasem sunęły ze zgrzytem po kamieniach płaskie, chłopskie sanie, bo na polnych drogach był jeszcze stalowy, ubity śnieg, gdzieś niedaleko tylko, niby rdzą, splamiony gliną lub piachem. W mieście jednak dawno już błoto odlatywało od kół tłustymi płatami. Niezwykle o tej porze, nie lutowe, a jakby już kwietniowe wiatry napędzały deszcz, to słotny, rozbijający błoto na szarą i gęstą maź, to lekki i porywisty, prawie niebieski i już pachnący wiosną. Zostawał po nim szybki bulgot ścieków i ogromny wrzask dzieci, kulakowanych przez matki: — Dam ja ci z ciżmami wlaźć w bajory! — Małe „cholery” nazbyt śpieszyły się do wiosny, podczas gdy dorosli szli na targ jeszcze po stęchle, piwniczne kartofle, po kielkami obrosłą cebulę, po zdrewniałe buraki, jeżeli — co daj Boże — i tego nawzięli chłopcy.

Stanisław Krause zostawił ojca na rynku i zanim skręcił w Farną, gdzie było „Biuro dostaw kolejowych”, obejrzał się parę razy. Stary, kulejąc, podreptał prosto między chłopskie firy. Zdejmowano przed nim czapki, jak przed dziecikiem, więc krzychał na cały głos: — Nakryj głowę, durniu, bom nie twój pan i po mordzie cię nie spierę! — Umyślnie tak „psuł” chłopów, aby ich ambicji nauczył, ale jeszcze więcej ich ploszył takim krzykiem.

— A co przywieźli? — pytał, jakgdyby sam zamierzał kupić ćwiartkę żyta albo jęczmienia. Brał nawet do ręki chude, wyblakłe ziarno, pomieszane ze sporzyszem i zaścianem nasieniem perzu, dziwiąc się, że takie święństwo przywożą na targ. Chłopi milczeli, zastraszeni srogą, czerwona twarzą grubego pana. Mieliz mu powiedzieć, że i to wyskrobali już z toku, zmiełli doczysta, aby choć parę grajarów uzyskać na sól? Dobrze wiedzieli, że chleb z takiego żyta był cierpki i gliński, a dla miastowych brzuchów szczególnie szkodliwy. Wywoływał puchlinę, burczenie w kiszkach i ciężły gruda w żołądku. Ale kto by tam dbał o miastowych, gdy samemu jadlo się kartofle, gnijące w dolach, gdy baby zamiast chleba, piekły placki z jęczmiennej plewy, raniące nawet chłopski przełyk, nawykły do każdego śmiecia.

Kobiety wyprzedawały się już z ostatniej sztuki płótna i za byleco można było kupić pasiaste, szerokie radno, albo samodział, tkany w czerwono-szafirową kratkę. O braku paszy kwiczyły na cały Rynek krostowate wieprze, a krowom, choć międlili pyskami, wychodziły ostre gnaty spod zaskorupiałego gnoju. Jeszcze niektórzy chłop nadrabiał miętę, gdy miał na sobie kożuch barani, wyszyty przy kieszeniach wesołą włóczką. W kożuch wydalwał się każdy gruby i syty, a łojem smarowana grzywka świeciła się dostatnio pod zrzedziałą śpiczastą czapką. Taki zaś, który miał na sobie smraheć brązową i szorstką, jak drzewo obrosłe mchem, był szeroki tylko od fald ubieranych na biodrach, bo spodem parciane „szatny” dobrze ścigał rzemieniem, żeby nie spadły z głodnego brzucha. A tu na żydowskich straganach zółciły się bułeczki i rozmaite fajgle posypane kminkiem albo czarnuszką, siniały środkiem dolkowane, a brzegiem spuchnięte placki z cebulą, błyszczwały srebrnie w słonem, grudkowatym błotku śledzie, z bielejącym u podgardla mleczkiem, albo upchane różową ikrą. Kwaśna, jak razowiec, ślina ląknęła wódki, jada i smaków miejskiego pieczywa, więc w niejednym pocila się złość zapachem stęchłym, jak słoma w starym sienniku.

— Zzarliście wszystko na prażnikach — beszał Józef Krause — a teraz wy i my z głodu pozdychamy!

Nie żałowali tego, co „zzarli”, choć dziś ciurkali cienką śliną między zatytłane ogony końskie. Zabeczalo jakieś cięle, zagęła gęś i wysunął głowę z kobiałki, okragłem, mierzionem oczkiem dziwiła się ludziom i sobie. Odezwiał się wreszcie od żydowskich budek i straganów dziki krzyk, obwieszczający owe bułki, fajgle, obwarzanki, seledce, czoboty i szapki. Krzykiem tym rozpoczął się dopiero właściwy targ, więc chłopcy zsunęli czapki od czoła, żeby lepiej podglądać obce i łączące ręce.

Między firy i sanie, jak na zdobyczny tabor, runęły zrazu młode, wąskoszyje żydki, piejące koguciami głosami. Starsi kupcy krążyli zdaleka, bo i co tu kupić — garniec robaczynego gnochu? Żadna dworska furmanka nie zaśmierdziała dziś juchtem uprząży, a kupcy właśnie rozbijali się o owies. Był gwałt o owies w tym czasie i wojsko płaciło, ile kto chciał! Młode żydki buszowali więc

leży zwrócić uwagę. Do działalności na tem polu obywatelsko-wychowawczem należą wprzecz ludzi z właściwymi kwalifikacjami naukowymi, z uzdolnieniami pisarskimi, należy przedsięwziąć planową akcję. Bo to jest dziedzina, którą można opanować, zorganizować, pokierować nią, stosownie do potrzeb chwili. — Nie należy tylko robić jednego: mieszać tej sprawie obywatelsko-pedagogicz-

nej z zagadnieniami wewnętrznego rozwoju literatury, który odbywa się na innych zupełnie prawach. Troska o wychowanie mas niech będzie przywilejem pedagogów. Literatura poganiaczy nie znosi, a kiedy niepotrzebnie daje im posłuch, rychło sama się spostrzeżga, że miast ku rozkwitowi idzie ku upadkowi. Miast budzić zachwyt i oddźwięk świata — budzi nudę i melancholję.

## S T A R Y K R A U S E \*)

w grochownicy: — Macie owies? — Siegali pod babskie zady w kurzem dymiącą słomę, aż jedna, druga z wielkim piskiem jęła walić po parszywym łbie. Józef Krause, mając z tego swoją uciechę, śmiał się grubo i głośno, gdy taki fimtak żydowski jarmułkę poprawiał i potargane pejsy nawijał na palec.

Szare niebo opadło nisko i po całym Ryнку posiał się popielaty maczek. Na moment przycichły pyskate słowa, tylko konie przykryte workami, wtulili głowę głębiej w torby, chrupiąc głośno sieczkę. Potem rozplotły się wprawdzie znowu ruchy handlujących, ale były już jakby ciężkie i omdlające z wilegoci. Twarze, pochłustane deszczem, powlokły się jakby lakierem i martwo, cierpliwie poddawały się już wszystkiemu. Zegar na ratuszu powoli, z czkawką wydzwonił dziesiątą godzinę, gdy pies włóczył, otrząsnawszy się z deszczu, rudy i niziutki, jak lis, pomknął między firy, żeby pożywić się choćby końskim gnojem, dobrze już napoczętym przez wróble.

Nagle rozdarło się żalosne wołanie. Józef Krause wzdrzygnął się, bo właśnie rozważał sobie, że u wszystkich stworzeń jednaka jest ochota do najmniejszego choćby bycia. Nieinaczej, jak ten pies albo wróbel i ta stara, że wszystkim już zdrewniała Jenta! Z wrzaskiem wyszła z żydowskiego zaułka, niosąc w ramionach nicułek, przykrytą kolorową pierzynką, jakby male dzieciątko pod nią leżało. Nawet trochę huśtała przed sobą tę nieoukłę, gdy dla odpoczynku, nie krzykiem, lecz śpiewem rozbdyczała się po Ryнку, że bób jest świeży, gorący, pieprzny i smaczny. Konie zastrzygły uszami, zbudziła się też niejedna baba z drzemki pod zwilgłą chustką, a Jenta, kłapcząc na swoich chodakach, okrążyła Rynek, jakby tylko po to, żeby krzyknąć, albo nudzić jęklivem śpiewaniem.

Józef Krause kupił miarkę bobu, wyspał do chustki, zawiązał węzeł i schował do kieszeni. Zamłodo smakowały mu te parzące, pieprzne ziarna, które tak zreszcie umiał wyluskiwać wargami, że tylko gruba, brązowa pochwka zostawała mu w palcach. — Co słyhać? — zagadał. Jenta najpierw powiedziała, że nic, nic nowego, ale biorąc miedziaka, chuchnęła w garść i nie twarzą, zgniecioną, jak suszona gruszka, ale głosem samym ucieszyła się: — Na poczętek! — Potem mogła już opowiedzieć, że jej córka Ruchlę zbili na akyczie, przyłapawszy ją z mięsem, które skupowała po dworach i cichcem przekradała do miasta na sprzedaż. Mało, że ją zbili, zabrali jej cztery ćwiartki cielęciny. Leży więc w domu posiniaczona, potłuczona, a nawet doktor Goldmann, niech mu Bóg da zdrowie, przychodził, lekarstwo i maści zapisał, bo już tak źle było z Ruchlą, że swojego nieżyjącego męża widziała otwartymi oczami. A wnuczka? Małkaleben przy pierzu u reb Wolfsohna. Jak kto młody, to jeszcze głupi i wesoły, to cieszy się sukienką i pogodą, a może nawet taksamo cieszy się słotą i mrozem.

Krause uśmiechnął się, bo nieraz tę Małkę przyłapał z Kostkiem w bramie swojego domu, z czego wynikało, że jeszcze czemś innym cieszy się młodość, czemś takim, o czem już nie warto dziś mówić ze starą Jentą. Raz też, przechadzając się swoim zwyczajem przed spaniem po Ryнку, widział tę Małkę za węglem ratusza, szarpiącą się z młodym Wolfsohmem. Pewnie, więcej jej przypadł do gustu Kostek, niż zdechłakowaty synalek pryncypała! Iż to lat liczy sobie Małka? Na piętnaście jej idzie — i Jenta brzegiem chustki, bodając samą wystrzępioną frendzlą otarła oczy, w których nie było wcale łez. Miała ten płacz tylko w myśli, do odu już nie dochodził, ale przed panem Krause, który znał jej życie od młodości, można było przyznać się do swoich żmarten: — My już stare ludzie, panie Krause, to co nam jeszcze zostało, prócz curys, które trzymają przy życiu? — Machnął ręką: a Jenta taksamo na znak, że się zrozumieli. Odszedłszy parę kroków, znowu zakrzyła tak donośnie, że odezwało się w ratuszu, jakby tam stu ludzi razem podniosło wrzask.

— Głos ci ma taki, że chyba z pięćdziesiąt lat jeszcze pożyje! — pocieszył się Krause. I jeszcze to sobie pomyślał, że stare pokolenie wytrwałsze jest i bardziej krępkie. Może tak być, że ludzie coraz krócej będą żyli i coraz marniejszy będzie ród ludzki. Napuścił się, dobrze płucami poprawował, jakgdyby chciał wypróbować moc oddechu i sprawdzić pojemność klatki piersiowej — czy jeszcze pomieści tyle powietrza, ile mu się należy?

Zadymito się gestym deszczem i Józef Krause chyba deszczowi, który prychnął mu rynek — firy, konie, ludzie — jakby przy padł do ziemi. Czarne żydki kucaly przy wozach, jak zmokłe psiaki, a worki i rańtuchy

pokryły ludzi i koniec naksztalt ziemi, usypanej na świętych grobach.

— Zdawałoby się — tłumaczył się Józef Krause chyba dereszowi, który prychnął mu w twarz, — że sobie tak obszernie próżnuję, a tymczasem od rana do wieczora dzień mi się wypelnia i czasem tak bywa, że trzeba niejedno przelożyć na dzień następny. — Bo Józef Krause miał swój własny pogląd na pracę: być między ludźmi, mówić z nimi i słuchać, co tam każdy ma do powiedzenia. A dzisiejszy dzień, jako targowy, był w istocie wypelniony po brzegi. Najpierw trzeba pokreć się po Ryнку, aby wiedzieć, jak tam jest na wsi, jak to sobie radzą chłopcy, gdy nikt o nich nie dba. Odkąd znieśli pańszczyznę, plecami odwrócili się od chłopca i niechże sobie ma swój własny rozum, kiedy dostał wolę! Taki to jego rozum — czterdziesty szósty rok! Taka to i jego dusza, jak ruda niewypalana! A szapuk, psia krew, chanie, a bydlę niech ci zdycha, a serwituty, a szarwarki, a kije w wojsku, a kryminal za cobadz. Ale chcą, żeby chłop nie przekradał się do Moskala zagranicę, gdzie go, lajdaki, tiutiu-nem i solą werbuja!

Gdy się tak zebrało całą gorycz z tego Ryнку, warto potem pójść na godzinkę do Stenglowej, a stamtąd ciężkimi od piwa nogami do synów, — do sklepu Teobalda, do sklepu Stanisława, do apteki, wreszcie i do tego „biura” Stanisława na Farniej. Wszędzie trzeba zajrzeć, posłuchać, posiedzieć i w ten sposób zgarnąć wszystko, jak gęsi do stajenki. Na swoje podwórko — jak mówi Stanisław. — Może tak być, że po mojej śmierci cała rodzina rozleci się i jeden drugiego w biały dzień na ulicy nie zechce poznać! Teobald już dziś przeciw Stanisławowi bij zabij za to, że Emilki odmówił młodemu Nahlikowi. Pewnie, kombinacja była niezgorza, ale, co miał zrobić Stanisław, kiedy burgrabia sam wyswatał swojego siostrzeńca? Swoją drogą nie należy dziwić się Nahlikowi, że teraz Bożenki nie chce wydać za Kazia. Miały być dwie pary, więc kosz za kosz, no i placze i tragedja z tą Bożenką, którą Kazio na amen zbalamucil.

Józef Krause współczuł młodym, ale kiedy już tak pogmatwali swoje sprawy, że czort by z tego nie wybrnął, umywał ręce. Tyle z tego miał, że jak stara baba, od jednego do drugiego latał i plotek się nastuchał, że Teobald to, że Stanisław co innego, że Wacek ze wstydu do Lwowa uciekł, a Bożenka na śniadanie i kolację mdleje. Zła to cała złość przeciw Emilce, bo pono rozmawiała z Łuzińskim, pono spotykała się z nim u Wojtyckich, na spacerach chodziła za miasto. Ba, a jakże to mieli robić inaczej, skoro się pokochali! Wiadomo — zakochani uciekają przed ludźmi, aby gdzie usztronnie i blisko siebie, aby się nie spotkać z ludzką złością!

Taki więc był rozłam teraz w familji i huczek z tego na całe miasto. Każdy musiał przecież wścibić swoje trzy grosze, aby poswojemu rzeczyć wyłożył i obgadać. Józef Krause opędał się żartami i układał wierszyki: „Dwie pary nie do pary stanęły u Fary, aby, że dobry towar, wspólny mieli browar”. Był to wiersz bardzo długi, prawie ballada, jakby jej sam Mickiewicz lepiej nie napisał i ludzie, słuchając, klaskali w ręce zdumieni, że stary Krause tyle słów i taką wymyślną treść do rymu uskładał. Teraz, stojąc tu pod podcieniami, sam do siebie się uśmiechał, bo mu wierszowanie od dzieciństwa szło ogromnie łatwo, a bywało, że go takie banialuki potrafiły pocieszyć w największym smutku. Kruścił swój smutek rymami, ni to bochen chleba na małe kromczki. Łatwiej przecież przelykać kromki, niż dźwicić się całym bochenem! — roześmiał się głośno. Już w myśli zaczął układać rymowaną przypowieść o sobie samym, gdy za plecami zrobił się gwałt, zatupały czyjeś nogi i czyjeś bary napchały się na niego. Obejrzał się i zaraz krzyknął: — Psia krew! Dla czego szturhacie tego dziada!

Zaperzone, kosmate gęby tragarzy rozwarły się wielkiem pyskowaniem — że i tak roboty niema i tak stoją tu naprzóżno, a stary Szmul pcha się pierwszy do magazynu, łapie, co się da i nikomu dostępu nie dopuszcza. Szmul obęrcz sparciałych sznurów poprawił na ramieniu i w poszarpanej watówce „lata na lacie” rzucił się brodaty i straszny.

— Szmul, a musisz ty jeszcze pracować? — łagodzil Krause. — nie możesz to przy dzieciach i wnukach? Twój Lajba bogaty, szanowany kupiec, powinien ojca przygarnąć.

Tragarze podnieśli wrzask, że to samo mu mówili, bo komu należy się zarobek, czy im, którzy mają żony i dzieci, czy starremu, który ma bogatą familję i z głodu

\*) Fragment powieści — której akcja odbywa się w Galicji roku 1865.

nie dadzą mu zdychać? Ale Szmul przeklinał tragarzy w dziesiąte pokolenie. W pustym żołądku grało mu jadownicę: — Lubił wnuki! A jak nie chcą, jak pędzą od siebie?

Krause wiedział, że tragarze nie darują teraz Szmulowi, że nie przepuszczą mu tego strasznego przekleństwa: „Czart w ojca twe go ojca”. Jeden z drugim mocny, żyłasty, nie w chałatach, a w krótkich watówkach, przepasanych w pasie rzemieniem albo powrozem, w łapciach i szmatach na nogach — z wyglądu istne zbroje. Mogli zabić starego Wielką im rzecz w złości zabić! Długie ręce, kablakowate plecy, twarze prawie wszystkie znaczone ospą, oczy zaplnięte krwią — mogli zabić starego, który, jak wysuszony strąg, skręcał się i chrząścił słowami nie ze wstykiem zrozumiałemi Krausemu, choć znał dobrze żydowską mowę, a nawet umiał zagadać z należytym charkotem.

Laską, jak szlabanem rogatki, odgrodził Szmula od napastników i ich sposobem wrzasnął, że im ręce i nogi połamie, że zebra porachuje, albo żandarmu sprawdzi, jak nie dadzą spokoju staruchowi. Niby to bardzo się złościł i straszyl czerwona twarz, ale tylko poto, żeby galganów przepędzić. W rzeczywistości żał mu było tych biedaków, którzy tu deszcz, czy mróz wystawali całymi dniami, często nadaremnie, bo zastój był w magazynie pierza, w tych wszystkich ratuszowych składach wełny, klaków lnu i konopi, eksportach jaj i co tam jeszcze mieściło się w sklepionych piwnicach. A osobno żał mu było starego Szmula, którego pamiętał takimsamym, jak ci wszyscy, zabijają i siłaczem.

— Szmul, stary dziadu — dogadywał — nie dasz już dziś rady, jak kiedyś bywało przy ładowaniu beczek w browarze! Browar teraz nie mój, a siły nie twoje. — Sięgnął do kieszeni i dał Szmulowi szóstka, cieniutką, wytartą monetę. Dał mu też garść bobu: — Na, weź i idź już sobie stąd!

Pieniążek nie prawie nie ważył, prawie go Szmul nie wyczuł nagniotkami dłońmi, zato bób był gorąco i pachniał rozparzonym pieprzem. Szmul zgarbił się, bo teraz dopiero zaciężył mu zwój powrozów, zaciężył mu nawet ten łachman na plecach, ale odchodząc, splunął bobą lupiną w stronę tragarzy. Podniebienie zapiekło od soli, pieprzu i suchej mączki ziarna a w gardle zaświerzbiał chichot: — Od dziś już od domu do domu, od drzwi do drzwi no ten grajcar, po fizykę zupy — niech dzieci pod ziemię zapadną się aż ze wstydu!

Tragarze wtoczyli się w ciemne wejście do magazynu i wnet kilku wyszło z balami pierza na plecach, ale że deszcz nie ustawał, nie pozwolono im ładować na wóz, co wywołało ponowny wrzask i klótnię. Józef Krause miał więc raz jeszcze okazję zamyslić się nad trudem zdobywania chleba, nad niewygodą życia, które tak musi się wykrzyżać, nadzwigać, nakipieć złością, zanim zęby uchwyć ten potrzebny kęs. Myśląc tak, ładował na siebie, jak ci tragarze, przeogromny ciężar i stojąc tu, wielki, gruby, zdawałoby się, jeszcze mocny, dzwigał ten ciężar, sercem podnosił go niemal pod niebo, zasnute jednostajną szarością, jak „pack-papierem”. Ejże, czy wielki Bóg jeszcze ciągle pogniwany na ludzi? Spróbuj tylko, panie Boże, odmień dole ludziom, a zaraz odmień im się serca! — Wyprosił jednak niedużą łaskę — przestał padać deszcz i ludzie zmachy chwytali spod mokrych worów.

Józef Krause owinał o szyję wełniany szalik, bo coś jakby wiatr powiał po świątynie. Mniejszy ratusz, trzema nieczędnymi krokami przeskoczył błoto, ściekające z żydowskiej uliczki i wszedł w Polną. „Flurgasse” — widniało gótykiem na deszczu, zawieszona na narożniku domu. W ulicy tej nie było jednak ani śladu pola, czy jakichkolwiek „Flurów”. Z prawej strony, w głębi nad dachami piętrowek wyrastał, górą zdoła nie wydziergany, sześcian bożniczy. Z lewej szło się wygodnym, z flizów ułożonym chodnikiem do starostwa, do sądu, do urzędu podatkowego. W dobrym punkcie mieścił się więc szynk Stenglowej wdowy. Rajtar na szyldzie, przypijający do przechodniów z czubato szumiącego kufła, stał tu w swoich złotych butach z koletami i nastawiał wesoly, pijański pysk.

Na bufecie kłoz nie tłumil zapachu kwargli, a wszelkie wonie mieszały się tu ostro i gnilnie z kwaśnym ciągiem wódki. Właśnie pocieszały się murarze w ten bezrobotny czas. Zblichowane policzki procentowały się rychło rumieńcem, sznaps bulgotał w przęgitych krtaniach i odrazu weselały oczy, hardziały celne słowa. Józef Krause z majstrem podali sobie ręce: — Daj Boże, obywateru Krause! — Daj Boże, obywateru Gawoński! — Jeszcze od czasu mieszkij gwardji w czterdziestym ósmym mieście się „obywaterami” i illekró spotykali się, przyjemnie było takim jednym słowem wywołać tamtejszą, inną chwilę.

Usiedli przy stoliku i Gawoński, faldując policzki, najeżył zrudziałego wąsa. Postukali palcami po lepkiem blacie: — Dwie halby tutejszego! — Krause przy okazji uszczypnął usługującą dziewczynę: — Wnet ci cycki wyskoczą z kaftanika! — Nastarczy to tych kaftaników, kiedy każdy w jedno miejsce trafia — odcięła się. Nadpili z majstrem jednakowo, jakby kto wymierzył, mrugnęli na siebie, że niby razem, podawalnemu związani czemś, co było, a nie jest. Bo teraz inaczej, każdy swoim porządkiem — stary Krause spokojnie, dzień za dniem li-

czy, a Gawoński biedą i troską wybielił sobie ręce, bo pracy niema.

— Czy się ruszy na wiosnę? Niby jest nadzieja, że pan Bażyński młyn parowy będzie stawiał, ale kto go wie? Tym mlyncem od pięciu lat straszy. Pewnie — był niespokojny czas. A dziś to może spokojny? Powiadają — Gawoński zatoczył oczami, aż mu czerwone żyłki splonęły w kącikach białka — powiadają, że po lasach znowu się gromadzą i że tym razem za wolą austrjackiego cesarza. Niewiadomo, czy ludziom kiedyś sprzykrzy się wojna, bo coraz młodsi dorastają i chcą się popisać, że lepiej od starych potrafią. A może i z tego idzie ta chęć, że w kraju bieda. Przy jednej misie miło siedzieć doma, ale, jak misa pusta? Psia mać, lepiej iść na stracenie, a z honorem! Tak se myślą. Murarze z głodu przymierają, na żebraków zeszedł przy Komitecie Głodowym i ambit rzemieślnicy kalają. Jak nie będzie z wiosną roboty, dalibóg, miasto spali!

— Ejże — zgniewał się Józef Krause — na nas będą swojego dochodzić! W kryminalnie zgniją i tyle będzie z tego profita! — Zebym tak zdrów był — spierał się Gawoński — mówią, że spali! Potem będzie robota, bo chyba zbiórkami, komitetami, pożyczkami ludzie miasto odbudują. Ja sam, żeby nie chałupa na Wóleckiej i ten kawałek ogrodu, żeby nie żona praniem po żydach... wolał już nie wspominać zarobków córki, bo nie było czem się pochwalić... z mularki, tobym nie wyżył. — Sięgnął w los ludzki głęboko i, jak wapno z piaskiem, od dna miaszał: — Dwie sprawy w życiu są najważniejsze — jedzenie i zdrowie. — A picie to nic? — śmiał się Krause. — Ej, obywateru Gawoński, młody powiedziałby jeszcze: miłość, kochanie. Obstawione jest nasze życie wszelakimi potrzebami i stąd ta gorączka, żeby i tego i tamtego i jeszcze czego innego skosztować.

— No, wiemy, jest w nas ta ochota, ale ochota ma krótkie ręce. Nie dosięgnie wszystkiego, toteż trzeba brać to, co najbliższe. Dla mnie na przykład najbliższe, że pan Stanisław Krause dobrał się do kolejowych spraw, a jakbym ręce miał zakrótkie, to obywater Krause nasztukuje swoim słowem u syna.

Po odejściu majstra, Krause siedział sam, patrząc na ludzi, którzy przy bufecie napręde jedli i pili. Zawsze tu był takisam ruch i zmiana. Aż śmiesznie, jak taki przyjdzie, komendę warknie, albo znak da, tyknie, golnie parę razy, przegryzie czemnie bądź — kielbasą, śledziem, serem albo tylko chlebem umaczanym w soli — potem w kieszeni pogrzebie takim ruchem, jakby go pchała ugryzła i pieniądz rzuca z wysoka, aby brzęk był na pożegnanie z gościem. Stenglowa niezmiennie śpiącym wzrokiem, jakby ze snu, z ciepłych betów dopiero wyciągnięta, oblicza, wydając, przyparłszy do szuflady brzuch wypukły, jak naphany pulares. Taka, jak ją widzisz, dawała sobie radę od lat już bez męża. Chłopcy, wnoszący bukiety halb (bo w alkierzach nie dźwięka, a „kelnerzy” usługiwali), albo talerze z przekąskami, tylko w jej stronę patrzyli, wycytując z tych śpiących oczu jakieś nikomu niezrozumiałe rozkazy, wskazówki, pochwałę, czy naganę. Biegnie taki jeden, jakby mazura prowadził, i w pół kroku zatrzyma się, bo już pojął, że nie tak, a inaczej, że niedopatrzył, zapomniał, pomylił się.

Chorą nogę wyciągnąwszy na izbę, Krause cieszył się tem wszystkim, co pchało mu się pod oczy. Przyjemnie też było nawrócić myślą do rozmowy z Gawońskim, który nie był ani głupi, ani ciemny. Wogóle z kimkolwiek rozmawiało się z cechowych ludzi, było się jakby przy tródelku prostej mądrości. Nie fałszowali swojego myślenia, nie skręcali prawdy. Ale tu zahaczył się Józef Krause, bo przecież tyle wiedział, że prawda nie jest jedna, że każdy ma swoją, a cudzej słucha, jak bajki. Był czas, że i on miał swoją prawdę, że na nią przysięgał przed krucyfiksem, a nawet do tej pory zachował dla siebie tajemność tej wielkiej przysięgi. Ale, co z tej prawdy, z tej przysięgi? Cwierka nie w oczy: ojciec majątek zmarnował! Napewno nie usłyszą, żeby się wyparł, o przebaczenie prosił, żeby się przyznał do pomyłki. Tego nie usłyszą nigdy! Nie stracił przecież wiary, nie wyrzekł się tego czekanja, choć nie zaświadczonego dzisiejszym dniem, tylko wypatrującego, co będzie jutro, za rok, za dwa. Nie może przecież tak być, żeby już nazawsze taksamo, bez zmiany! Wnuki, wnuki obejrzą się, przypomną, wnuki zawstydzą się, wzburzą, rozpalą. Niechże Stanisław i Teobald gromadzą pieniądze, aby było dla wnuków, gdy przyjdzie ta godzina. Taksamo wtedy „zmarują”, „zapraszają”, dajże, mocny Boże, z lepszym skutkiem!

Myśląc tak bez poścachu, bez gorączki, bo oswojony był z tą nadzieją na lepsze czasy, patrzył, jak przy bufecie kował Wojtycki już trzecim gardło płucze. Czarny, fioletowy był od tej gorzałki, ale zawsze przysto chodził, według tej pierwszej gwardyjskiej muzyki, którą tamtym czasem z tutejszymi odprawiał Józef Krause, własnym kożchem sprawiwszy każdemu granatowy mundur z amarantową wypustką i konfederatkę z orzelkiem.

Krause podsunął Wojtyckiemu krzesło, a ten lysnął brzośnami, przepalonemi zrenicami i odrazu: że mu żal za córką. Dom teraz pusty, bo młodszy w sklepie pana Stanisława na praktyce. — Ni mam dzieci, ni mam już dzieci! Jeden od kuli moskiew-

skiej pod Radziwillowem, a te, co są żywe, to jakby już nie moje.

— A Gablen — zapytał Krause — szanuje teściów?

Poco pytał o te sprawy? Myślał może, że mu Wojtycki powie całą prawdę, jak go zięć, pan profesor Gablen za pijaństwo sztorcuje, nie trzeźwego za próg nie puszcza? — Gablen — powiedział po namyśle — nie mężczyzna, a gnilek. Do choroby mi jego uszanowanie! — Zaśmiał się głośno, płaśnął w kolano: — Brzech go wciąż, to mu żona rumianku naparza, kminkowe zupki gotuje jajka na miętko. — Poswojemu pogadali na ten temat, wybuchając tak grubym śmiechem, że ktoś z alkierza drzwi uchylił, chcąc zobaczyć, komu to tak wesoło w tym smutny czas.

W alkierzu, albo i w „salce” szukał sobie miejsca co lepszy gość. Były tam na ścianie landszafty, przez muchy jak gęstym deszczem zbrzyżane. Na stołach obnusy w czerwonej kratce marszczyły się pod lokciami i mieniły się w mętnych zrenicach. Był tu nieczysty czad wódki, piwa, dymu tytoniowego, niewywieczonych tłuszczów. Ale jakoś przyjemnie wydawało się tu urzędnikom wszelakich dykasteryj, gdy z drugiej salki szło lekkie stukanie kija o kule bilaradowe. Jak tykanie zegara dzielił ten stukot czas i prawie nie wiedzieli się, że mija, że tak sobie ucieka od halby do halby, od kieliszka do kieliszka.

W tej chwili pod oknem siedzieli dwaj żandarmi naprzeciw siebie, nosem w nos. Kogucie ogony na kapeluszach dygotwały zielonkawą polewą, a wiksowane wąsy nabierały białą pianę piwa. Niby byli na służbie, bo karabinów z ręk nie puszczały, aby każdy wiedział, że tylko na parę minut skryli się tu przed deszczem. W tak lichej targowy dzień mogli tu nawet rzemieślnicy pięć i patrolasze odłożyć, woleli jednak białą irchę rękawiczek świecić tu ludzkiem oczom: — Achtung! na służbie jeździem!

Przy innym stoliku mecenas Rakuski i doktor Goldmann skandowali najpierw Hoemera na wrywki, kto więcej pamięta, a potem przeszli na Horacgo. Patrząc sobie w oczy, uśmiechali się błogo, bo, cóż mogło być rozkosniejszego, nad zmienny rytm odby? Szeroki dech i skok i wydzwięk, wsłuchujący się w siebie i wreszcie — własna młodość, już nazawsze przechowana w pradawnych strofach. Niedługo jednak wstrwali w wierszowanej zgodzie, wnet bowiem przeszli na filozofję. Nie, nie przeszli, ale biegiem pogonili od Platona do Hegla. Idee, monady, materializm — nigdy tych spraw nie potrafili wyrównać między sobą. Rakuski z każdym filozofem docierał do chrześcijaństwa, jako jedynego, ostatecznego, niewzruszonego rozstrzygnięcia wszelkich wątpliwości i dociekań. Goldmann natomiast zawsze taksamo: że religie, jakiegokolwiek były i jakiegokolwiek są, jedynie gmatwały poznanie. Wtedy Rakuski szachował Hoene-Wrońskiego. Czy Goldmann czytał Hoene-Wrońskiego? Zrozumiałby, jak wód liczbowy doprowadza do najściślejszego poznania, operując właśnie nieskończonością, więc boskim atrybutem. — Jakż absurd! — wargi Goldmanna kędzierzawiły się ironją — jakż absurd z tą nieskończonością! Myśl ludzka wdryga się przed tem, jak przed katastrofą. Po troszeczeku, po kawałeczku poznawać prawdę i podawać następny pokoleniom, jak wiadro przy porzarze. Ale i to nie odbywa się tak łatwo, jeżeli wspomnieć męczeństwo badaczy wszystkich epok. Inkwizycja — syknął w same oczy Rakuskiemu — palenie na stosie!

Cierpki, niebieski uśmiezek cienkich warg mecenasa nie okazał skruchy, nie żałował wykonanych egzekucyj: — A twórcy religij? A Golgota? Męczeństwo jest utrwalaaniem idei, męczeństwo to jest nigdy zagubą, męczeństwo to rozedrganie fali, abv ruch był ciągly i wieczny.

„Duch” i „materja” szepotały nad kratkami obrusa, a Rakuski powoływał się już na „De civitate Dei”. Goldmann tylko głowę kręcił, nie chcąc nic mówić o świętych i doktorach Kościoła, obtańcowujących dogmaty, jak dzicy ognisko. Wiedzieli zresztą, że za chwilę powie mu Rakuski: — Wychrzycij się pan, panie konsyljarzu, a odrazu przejrzysz nie oczyma, ale całą duszą, nie rozumem, ale nagłem objawieniem.

Illekró to mówił, Goldmann bronil się z zażenowaniem, trochę jednak ciesząc się z tego, że go chcą, że przyjdą go do siebie. Rumienił się, uśmiechał i — krótko przepuszczał? — zato właśnie polubił mecenasa, że go nakłaniał do chrztu. Wymawiał się jednak, że religia to nie surdut, który można zmienić i, że wogóle jest bez konfesji — „konfessionlos”, w nic nie wierzy, nikogo nie chce uwielbiać, do nikogo się modlić.

Józef Krause, wciągnięty do alkierza, spierał się: — Nie jest księdzem, żeby nawracać. Goldmann i tak dobry patriotą szczyry Polak, a zresztą, choćby się i wychrzcił, braku już nie uzupełni. Śmieli się, obklepując Goldmanna, który mruczał coś o rytuale, uwzględniającym hygienę. Prostactwo Krausego było wprawdzie dotkliwie i ośmieszające, ale krótko śmiał starym powiedziec, że jest grubą, sprośną świnią!

Krause zresztą i tak już zmierział ku czemuś innemu. Czy wiedzą, że na wsi chleba zabrakło, że na targ zmiotki przywieźli? I, co będzie dalej, co będzie. Goldmann doskonale wiedział, co będzie. Z wiosną zaczął się tyfus brzuszny, potem przyjdzie cholera, a latem będą już ludzie umierać, jak muchy. Fizyk w starostwie drwi sobie z wszystkiego. — Prześląd nam młodych me-

dyków — powiada — felcerów, lekarstw, poobstawiają kordonami, naperfumują karbolem, a o wapno nie będzie trudno, bo wapielnie mamy pod bokiem.

— Dobrze — zgodził się Józef Krause — ale ja mówię o głodzie, ja mówię o żywych i zdrowych, którzy muszą coniebaż zjeść. Czy Komitet Głodowy ma zapasy?

Rakuski zachichotał, jak żrebak puszczo-ny ze stajni: — Zapasy? Ładnowski nawet kwitów nie ma, bo dawał z rączki do rączki. Komisja rewizyjna — ja i pan Stanisław Krause — stwierdziła niebywały szlenderjan. Sprawa pójdzie do lwowskiej Centrali i będzie skandal, że, jak Bory Borami, takiego nie było!

Goldmann wlot pojął, co się święci. Już go coś doszło w tej sprawie, już coś wiedział o tej akcji, której patronował burgrabia. Ale Krause jeszcze nadził pytaniami: Bo co? Bo jak? Naco kwity? — a wreszcie: Czyżby ktoś nie miał zaufania do Ładnowskiego? — I zaraz buchnął czerwonym gniewem: — Nikt nie śmie podejrzewać Ładnowskiego!

Rakuski zagrał grzecznie: — Bardzo przepraszam, ale z powierzonego dobra trzeba się wyliczyć, trzeba zdać rachunek. Tako jest forma, taki obyczaj. Musimy przecież w Centralnym wykazać, co i ile i jaka reakcja społeczeństwa, aby móc partycypować w subwencji, którą teraz Wiedeń przyznał na cele Komitetów Głodowych. Ładnowski odpowiada więc za to, że ksiąg nie prowadził, że nikogo nie dopuszczał, ani sekretarza, ani skarbnika. Sam przyznał, że nikt nie wiedział, nikt nie nie robił, bo „nie opłacało się” biura prowadzić. Nie opłacało się — komu, pytam? A on na to: — Komitet Głodowy to nie urząd, to sprawa rychlej, natychmiastowej, doraźnej pomocy.

Teraz dopiero rozumiał Józef Krause: — Jezus Marja!!! Kapujesz, konsyljarzu, o co idzie? Jezus Marja!!! Synowi mecenasa, choć stary, kości połamię, jak się wazy tknąć, a pan mecenas niech się namysli, niech wprerw dobrze rozważy, że tu idzie o Ładnowskiego. Mecenasa nie tutejszy, naszych dawnych spraw nie zna, ale, gdyby co do złego, to my wyjaśnimy, kim jest Ładnowski. Każdy smark uliczny powie to panu mecenasowi, aby wiedział, że wara — wara!

Rakuski skręcił papierosa, językiem przejechał się po brzegu bibulki, odskuwał, przegładził i zapaliwszy, odstrzelił wargami dym wraz z kruszynką tytoniu. Wszystkie to jakby znaczyło: ja zrobię, co do mnie należy, ja się tak bardzo borskich smarków nie przelekne. Goldmann wcale w to nie wątpił, że Rakuski będzie bezwzględny. A jeszcze z nim do kompanji Stanisław Krause, a jeszcze za kulisami burgrabia. Powiedział więc tylko: — To delikatna sprawa. — Zato Józef Krause nie liczył się już ze słowami: — Łajdactwo! — Jak dwa byki nastroszyli się ku sobie — Krause i Rakuski. — Jeżeli łajdactwo, to po walnem zebraniu okaże się, czyje — powie dział nieoczekiwanie łagodnie mecenasa i strzeżnąwszy z siebie ręce Krausego, wyszedł, prostując lopatki.

Goldmann musiał teraz wysłuchać, kim jest mecenas Rakuski: — galgan, judasz, złodziej i bękart, którego przedtem szlag trafił, zanim ukrzywdzi Ładnowskiego! Talerze i szklanki na stole oddzwoniły wyzwiskom, a zwiędła skóreczka kielbasy na talerzu Goldmanna zsunęła się w mokrą maż kapusty. — Radź! Radźmy, co, jak i którędy! My przecież z nim, ja i ty i ci inni, cośmy zawsze razem szli. I przysięga trwa, Goldmann! Trwa na niebie i ziemi!

Ale Goldmann tylko się smucil, tylko tłumaczył rozjuszonym oczom, walącym kulskom, dyszącej piersi — że to nie o kwity, że wcale nie o to szło, ale o zgubienie Ładnowskiego w opinji. Komu na tem zależy? Wielu — bo i tym u góry, w lwowskim namiestnictwie, czy może nawet tym, którzy jeszcze wyżej siedzą. Dobić te resztki, które zostały z dawnych, niespokojnych czasów, które zawsze z uporem taksamo i o temsamem...

O, chyba nie znał Józefa Krausego, jeżeli sądził, że go tem zastraszy, albo powstrzyma. Przy samem uchu zaświsłał mu: — Idź zaraz do Ładnowskiego, ostrzeż go i powiedz, że my z nim. Niech to wie, że dziś taksamo — chytróść przeciw chytróści, złość przeciw złości! Nie będziesz mamalyga, Goldmann, a podawalnemu — z posłaniem, z misją!

Mówiąc to, patrzył mocno w oczy żandarma, dobrze mu znanego Zugführera Huntelki. Nawet lekko mu się ukłonił i ręką pokłiwał na znak, że miło mu widzieć tę mordę, obgryzioną, jak głab jabłka. Huntelka zaś salutował białą rękawiczką. Dawno już nie miał nic do czynienia ze starym Krausem, bo nudna i nierentowna cisza panowała w mieszkaniu od dłuższego czasu.

Józef Krause niemal wiedział, co myśli w tej chwili Zugführer Huntelka i dlatego teraz dopiero zniżył głos: — My się trzymajmy kupy, jak dawniej, Goldmann. Bo, co się zmieniło? Powiedz sam, co się zmieniło od tego czasu? Jesteś ty i ja i Ładnowski, a Huntelka siedzi tam i taksamo podsluchuje, co my, dwa stare rebeljanty z sobą gadamy. Wykaligrafuje potem raport, który pan komisarz Karowicz...

— Zmieniło się — przerwał mu Goldmann — bo komisarz nazywa się Karowicz.

— Pewnie — przyznał Krause — ale znaczy to tyle, jakby zamiał „Gott erhalte”, ktoś zaśpiewał „Boże wspieraj”. — Powiedzmy to, wybuchnął śmiechem, wymierzonym prosto w twarz Zugführera Huntelki.

# LUDWIK KRZYWICKI

# ESSEJE PARANDOWSKIEGO



LUDWIK KRZYWICKI

Nagroda pieniężna, którą miasto Warszawa obdarzyła Ludwika Krzywickiego, jest uczczeniem zasług znakomitego uczonego. Lecz w równej mierze można ją uważać za wyraz hołdu, złożonego wielkiemu organizatorowi życia naukowego w Polsce, którego niestrudzona praca przyczyniła się waleń do podniesienia poziomu naukowego całego polskiego pokolenia przedwojennego. Jako uczoney, stanowi Ludwik Krzywicki całą epokę w dziejach nauk społecznych w Polsce; jako działacz kulturalny, był nauczycielem i wychowawcą, który nauczył myśleć w kategoriach społecznych całe zastępy najwyższych umysłów.

Krzywicki to jeden z ostatnich przedstawicieli epoki wielkiego wysiłku umysłowego, jaki cechował głównie Kongresówkę na przełomie wieków XIX i XX. Czasy pozytywizmu stworzyły atmosferę duchową, w której dojrzewał Ludwik Krzywicki. Nie jest też rzeczą przypadkową, że studia swe odbywał na wydziale matematycznym i że uzupełniał je przez gruntowne opanowywanie wiedzy przyrodniczej. Nie były to studia bezpłodne. Dały one młodemu uczonemu ścisłą metodę naukową, rzeczowy sposób patrzenia na zjawiska i umiejętność łączenia faktów w ich przebiegach rozwojowych. Niezmiernie charakterystyczne, że ostatnie prace Krzywickiego, polegające na analizie stosunków ilościowych, są jakbydyby nawrotem do matematycznych założeń początków jego studiów naukowych.

Ale wiedza matematyczno-przyrodnicza dała Krzywickiemu jedynie metodę i sposób patrzenia na rzeczywistość. Jego właściwa praca naukowa poszła w innym kierunku. Pozytywizm, który wyrósł z Augusta Comte'a, a był zapłodniony myślą Herberta Spencera, postawił na miejscu naczelnym problem nauk społecznych, a socjologii w pierwszym rzędzie. Tu też znalazł swą drogę Krzywicki. Wpłynęła na to jeszcze i inna okoliczność. Krzywicki, jak znaczna część młodzieży ówczesnej, ogarnięty został przez ideały socjalistyczne, stał się ich czynnym szermierzem, i myśl socjalistyczna była nowym bodźcem, rozwijającym jego zainteresowania społeczne, nadającym im kierunek i zabarwienie. Krzywicki przejdzie przez surową szkołę marksowskiego myślenia, zdobędzie tu wiedzę imponującą i słusznie uzyska opinię jednego z najwybitniejszych teoretyków marksizmu w Polsce.

Szkoła marksowska dała dzisiejszemu laureatowi metodę naukową, którą umiał po mistrzowsku się posługiwać. Metoda ta uzupełniła przyrodnicze nastawienie umysłu młodego uczonego, który, wyszedłszy z pozytywizmu, umiał stworzyć syntezę przyrodniczej postawy z gospodarczym rozumieniem zjawisk społecznych.

Te punkty wyjścia zastawiły swe piętno na całej działalności naukowej Krzywickiego, a przedewszystkiem na jego pracach socjologicznych. Wyszedł on z tej epoki, kiedy socjologia, badając procesy dynamiki społecznej, szukała przedewszystkiem punktów wyjścia rozwoju i w nich widziała założenia późniejszej ewolucji. Badania Morgana miały tu wręcz epokowe znaczenie.

Nic też dziwnego, że społeczeństwa pierwotne i formy ich bytowania stały się głów-

nyim przedmiotem zainteresowań socjologicznych Krzywickiego. Badania przez niego prowadzone, podobnie jak to było z całym szeregiem socjologów poczynając od Spencera, ściśle graniczyły z etnografią i z poznaniem folkloru. Krzywicki-ethnograf to cała wspaniale zapisana karta w dziejach jego pracy naukowej, to imponujący materiał erudycki, to wreszcie znów nowy sposób widzenia rzeczywistości społecznej. Oczywiście nie mniejszą rolę odgrywały tu badania antropologiczne, które w rezultacie pozwoliły wielkiemu uczonemu zająć samodzielne miejsce w dziejach antropologii polskiej.

Skala jego zainteresowań jest niezwykle rozległa. Socjologia i etnografia, antropologia i ekonomia polityczna, polityka społeczna i zagadnienia polityki gospodarczej — oto dziedziny, w których Krzywicki zawsze umiał powiedzieć coś zasadniczego i oryginalnego. Większość tych dyscyplin właściwie jemu dopiero zawdzięcza swe powstanie w dziejach kultury polskiej. Tam, gdzie przed nim były mniej lub bardziej amatorskie poczynania, tam od niego datuje się dopiero ścisła metoda naukowa, właściwa współczesnemu poziomowi wiedzy. Krzywicki miał odwagę przenieść zdobycze europejskiej myśli naukowej na teren polski, zdołał znaleźć dla nich posłuch, potrafił wpoić w swych uczniach metody europejskiego myślenia. Pomocą była mu jedyna w swoim rodzaju wiedza, kolosalna erudycja, trzeźwość i jasność myślenia, zdolność pobudzania innych do myślenia.

Przy całej tej wielości i różnorodności zainteresowań istniał i istnieje w pracy Krzywickiego wyraźny trzon. Zrozumienie dynamiki życia społecznego, ujęcie ewolucji form społecznych w formy poznania — to oś, dookoła której koncentrują się prace Krzywickiego. I przy całej niezwyklej ścisłości tego umysłu badawczego można tu mówić o jakiejś filozofii społecznej takiej miary, na jaką zdobywają się tylko twórcy wielkich systemów naukowych. Tworzenie takiego systemu to dzieło pracy całego życia Krzywickiego. Przygotowywana obecnie (w języku angielskim) olbrzymia praca, zajmująca się szczególnie badaniem stosunków ilościowych w życiu społecznym, będzie, o ile można sądzić, ukoronowaniem całego systemu.

Praca naukowa Krzywickiego wiąże się jaknajściślej z jego działalnością jako organizatora życia kulturalnego i naukowego. Młodość i wiek dojrzały dzisiejszego laureata przypadły na okres, w którym praca uczonego polskiego prowadzona być musiała w warunkach szczególnie tragicznych. Brak warsztatu naukowego, niemożność przemawiania z katedry, fatalne warunki polityczne i atmosfera niechęci we własnym społeczeństwie — oto co miał do przezwyciężenia i co z całą odwagą umiał przezwyciężać. Nie uniknął prześladowań policyjnych, nie uniknął ataków rodzimej kulturerji. Jednym i drugim umiał stawić czoło. A przedewszystkiem umiał tworzyć placówki oddziaływania na ogół, umiał przez swe książki, przez działalność publicystyczną, przez odczyty i wykłady (często nielegalne) zapładniać myśl młodych, rzucając im nowe hasła, śmiało i wolnie od kompromisu. Trudno dziś poprostu ocenić, jak dalece dzięki Niemu podniósł się poziom myślenia społecznego w Polsce. Można powiedzieć, że dzięki jego pracy całe pokolenie w Polsce nauczyło się myśleć pojęcia mi współczesnej myśli społecznej, nauczyło się rozumieć zjawiska społeczne tak jak tego wymaga poziom wiedzy dzisiejszej. I dlatego Krzywicki to bogata pozycja w dziejach kultury polskiej.

Z pozytywizmu wyniósł Krzywicki głęboką wiarę w postęp i w człowieka. Socjalizm pokazał mu rzeczywistość od strony krzywdy społecznej. Pozytywizm i socjalizm zespoliły się w nim w przeświadczeniu, że wiedza to potężne narzędzie w pochodzie człowieka ku realizowaniu sprawiedliwości społecznej. Takim jest Ludwik Krzywicki, człowiek olbrzymiej zasługi, znakomity uczoney, niestrudzony pracownik i wychowawca. Pokoleniu powojennemu Krzywicki jest daleki i nawet mało znany. Ale pokolenie przedwojenne które na książkach jego uczyło się myśleć społecznie, widzi w nim jednego z ostatnich przedstawicieli wielkiej epoki, w której wykukwała się nowożytna myśl polska.

Aleksander Hertz

Ta książka\*), pierwsza dopiero z szeregu dotąd wydanych przez Parandowskiego, ukazuje go nam pod pewnym kątem, którybyśmy skłonni byli nazwać nowym. Zawiera ona bowiem kilka publikacji, gdzie z tego lub owego powodu autor musiał wyraźnie i precyzyjnie zaznaczyć swoje stanowisko w szeregu kwestyj, stanowiących ważkie zagadnienia chwili obecnej. To go nam bardzo zbliżyło i z indywidualności wyłącznie pisarskiej, indywidualności o charakterze wybitnie naukowym i poznawczym, uczyniło przedstawiciela pewnych idei i szermierza poglądów żywych a więc bolesnych, może tragicznych. Od charakteru ponoszonych zagadnień odbija tembardziej sposób ujęcia ich, i temu właśnie sposobowi przedewszystkiem skłonni jesteśmy poświęcić nieco naszej uwagi w przekonaniu, że tutaj kryje się także pewne bardzo ważkie zagadnienie naszej publicystyki i esejistyki dzisiejszej.

W drugiej połowie książki znajdujemy trzy studia: jedno o Remarque'u, drugie o Trahison des cleres i La fin de l'Eternel Julien Benda'y wraz z repliką tego ostatniego i repositą Parandowskiego oraz trzecie o Defense de l'Occident Henri Massis'a. Wszystkie te trzy prace dotyczą szeregu zagadnień z zakresu kultury, jeśli nie kapitalnych, to przynajmniej ogromnie aktualnych i ważnych. Wszyscy ci trzej autorowie są dość znani, aby tutaj powtarzać ich myśli. A nam idzie głównie o Parandowskiego, o jego wizerunek światopoglądowy, odbity w zwierciadle myśli tamtych pisarzy.

Przedewszystkiem Parandowski jest niezwykle oszczędny w ekspresji i nie dziwimy się wcale, że tę oszczędność wysuwa jako naczelną zaletę u Remarque'a. Chwali autora na *Na zachodzie nie nowego* za jego obiektywizm i spokój, podkreśla szczególnie tę okoliczność, że nie odstąpił od tej, jaką sobie postawił na początku pracy, tezy o zmarłym pokoleniu przez wojnę, że wykonał zapowiedź sumiennie, nie wdając się w żadne odchylenia pociągające a demagogiczne, których temat aż nadto wiele dostarczał. Czyśtość budowy, jasna konstrukcja, zasadność każdego szczegółu i jego niezbędność, sprawiają Parandowskiemu naczelną radość i zyskują jego całkowitą aprobatę. Spokój i umiar ze strony autora, jego ścisłość w robocie i uczciwość, — oto postulaty twórcy „Kroła życia”, jakie sobie w pierwszym rzędzie stawia. Ale nie na tem tylko wyczerpuje się zagadnienie Parandowskiego jako pisarza.

W polemice z Benda'y czy z Massis'em zarysowują się nam ważkie horyzonty ideologiczne o specjalnym charakterze właściwym Parandowskiemu. Ten rasowy humanista, znawca stanożytności, szczególnie Helady, ma podjęcie do każdego zagadnienia przedewszystkiem historyjoficzne o wielce szerokim zasięgu perspektywicznym tak terytorjalnym jak i czasowym. Dlatego też w sprawie z Benda'y nie zastanawia się nad samem pojęciem klerka, przez tamtego zdefiniowanem, czy jest ono słuszne i jakie jego miejsce w szeregu innych pojęć, nie obchodzi go też socjologiczne lożysko zagadnienia, o którym dałoby się wiele powiedzieć rzeczy ciekawych. Zresztą tak Irzykowski jak i Aleksander Hertz dość wielostronnie pojęcie klerka starali się naświetlić, przyczem ostatni przyznał mu w rezultacie znaczenie wyłącznie użytkowe. Lecz Parandowski bije w Benda'y przedewszystkiem argumentami historycznymi i trzeba przyznać, że racja jest po jego stronie. Zmysł rzeczywistości, tak mu właściwy, nie został wykołojony przez zbyt doktrynerskie ujęcia autora „Znady klerków”. Podnosząc fakt istnienia nawet w starożytności namiętności narodowych, w ostatniej replice argumentuje w sposób niezwykle prosty a zarazem przekonujący na rzecz patriotyzmu u klerka. „Klerk, kochający swój naród, nie zdradza swego idealnego powołania, zdana zaczyna się dopiero w chwili, kiedy swój patriotyzm przesunie poza granice sprawiedliwości sumienia, rozumu, i odda swój głos wszystkim uroszczeniom narodu, choćby one zasługiwały na pogardę”. Parandowski niczego na świecie nie odrzuca, niczego się nie boi. Najwyżej może miarkować, uzgadniać, harmonizować to wszystko, co cełuje przerosł albo niedorozwój, co nadmierne albo niedopatrzone.

Rozprawa z Henrykiem Massis'em, autorem głośniejszej książki *Defense de l'Occident* ukazuje nam nowego Parandowskiego. Skutkiem konfrontacji z tym niespokojnym, pełnym obaw, nerwowym Europejczykiem, który podnosi ogromny krzyk, że giniemy zalewani przez Azję, że Europa tonie w potopie żółtolicznych, demonicznych mieszkańców wielkiego lądu, jednym słowem z duchem katastrofizmu i popłochu, — pod łagodnym, spokojnym wejrzaniem autora „Aspazji” książka poczyna nabierać dziwnie powidzieliśmy niepoważnego wprost charakteru. Przedewszystkiem Parandowski odważnie stwierdza, że nienawiść do Europy wśród Azjatów zaszła sami Europejczycy swoją bezwzględną, menkantyną, pełną wyższości polityką kolonialną. Tu raczej my jesteśmy winni nie oni. Ale głównie obchodzi go sprawa idei i ich ujęcie przez Massis'a. Parandowski nie przeciwstawia się Azji, ale wprost przeciwnie, powołując się na odwieczną współpracę kulturalną dwóch kontynentów i, podkreślając,

\*) Jan Parandowski. *Odwiedziny i spotkania*. Warszawa 1934. Towarzystwo Wydawnicze „Rój”. Stron 238 i 2 nłb.

co my zawdzięczamy zdobyciom cywilizacji wschodu od niepamiętnych czasów, różniczkując samo pojęcie tej największej pod każdym względem części ziemi. Każde rozróżnić przedewszystkiem bliski i daleki wschód, a w tym podziale ogólnym — poszczególne grupy etniczne, narodowościowe i inne. Stwierdza niezwykłą różnorodność kulturalną lądu azjatyckiego oraz podnosi fakt, że my właściwie dalecy jeszcze jesteśmy od istotnego, dogłębnego przyjęcia całych systematów myśli, głównych prądów religij czy filozofij wschodniej. Właśnie brak zaufania do naszej własnej cywilizacji współczesnej jest powodem tych okrzyków strachu i siania popłochu, których przykładem jest oto omawiana książka Massis'a. „Nasza cywilizacja stała się poprostu zbyt obfita — stwierdza Parandowski. Możliwe że na dzień goryczy wieku leży uczucie wyczerpania” — dodaje. Ale te wszystkie wątpliwości nie zdołały objąć swemi słowami i wyrażeniami myślowymi autora „Dysku olimpijskiego”. Jego spokój jest czasami wręcz imponujący. Wydaje się nam, że to właśnie zdolność historyjoficznego pojmiowania i podchodzenia do zjawisk, owa perspektywiczność wieków nadaje tak specjalne oblicze postawie autora. I pod tym względem stanowi on pozycję w naszej literaturze dość wyjątkową. Prostota i naturalność, obiektywizm, wielka wiedza, postawa pełna szacunku wobec przeciwnika, ale też i nieustępliwa dyalektyka, nie szczędząca temu ostatniemu żadnego morderczego ciosu, kultura humanisty i spokojny dżentelmen, — sprawiają, że Parandowski ujmuje sobie z miejsca czytelnika i prowadzi go uroczym tokiem swoich myśli. A czyni to tem sugestywniej, że rozporządza wspaniałym klasycznym stylem i harmonijnym językiem, o czem już wiele pisano, a co tutaj podkreślić jeszcze raz należy.

W związku z tem ostatniem nasuwa się jeszcze jedna uwaga o pozycji literacko-społecznej Parandowskiego na naszym wewnętrznym pisarskim rynku. Jest on niewątpliwie przedewszystkiem historyjofem i esetą. Ale te dwa określenia nie czynią z niego pisarza pozbawionego kontaktu z rzeczywistością. Widzieliśmy to już w związku z Massis'em i Benda'y czy Remarque'em. Chodzi o pozycję Parandowskiego na odcinku naszej prozy antystycznej, krytycznej czy sprawozdawczej. I znowu występuje owo podkreślane przez nas szerokie spojrzenie dziejowe. Najlepiej uwidacznia się ono w studjum o Kochanowskim z racji rocznicy czterechsetlecia urodzin wielkiego poety. Pisze on tak: „Piśmiennictwo polskiemu oddawna jest potrzebny powrót do utraconej ciągłości. Przedewszystkiem nastęrcza się sprawa języka. Dzisiejszy język literacki hoduje się niemal wyłącznie na mowie potocznej, a jego koligacje artystyczne nie sięgają poza romantyzm. Mowa potoczna jest cennym materiałem, ale ma niewzruszoną tendencję do zszarzenia języka, co jest dziś aż nadto widoczne. Krążenie zaś w ciemnym kole ostatniego stulecia literatury wyjałowilo obszar kojarzenia słów, zmumifikowało całe mnóstwo zwrotów, które płaczą się z nieustępliwem naręctwem. Te okoliczności wywołują u autorów, świadomych kunsztu pisarskiego, prawdziwą emigrację, wędrowki i wyprawy awanturnicze do literatur obcych po metafory, nowy rytm zdania, nowe stosunki składniowe. Jak każde wychodźstwo, tak i to przynosi nam raczej szkodę”.

Trudno tu przytaczać dosłownie cały tok wywodów Parandowskiego, który za czołowych stylistów prozy polskiej ostatniego okresu uważa Sienkiewicza i Zeromskiego właśnie przez ich żywą i ciągłą styczność z literaturą polską w jej całokształcie dziejowym. Powołując się na przykład Francji, zaznacza, że kraj ten, „mający tylko wielkich pisarzy, ale ani jednego wieszca, ma nieprzerwane dzieje literatury i ani jednej daty wzniesłego przełomu. Żadna tama nie kładzie się między dążnościami współczesnych pisarzy a wysiłkiem dawniejszych wieków”. Mybysmy doдали, że ta ciągłość nie tylko w literaturze francuskiej istnieje. Najlepszym dowodem jej to przyjazd ministra Barthou do Polski. Zanim on sam zawitał do nas, na oknach księgarskich ukazywały się jego dzieła o Lamartine, Mirabeau — wielkie, piękne monografie. To były intelektualne telegramy, zawiadania mające nas, że przyjeżdża nie tylko mój stannu, ale uczoney, myśliciel, literat, akademik, esteta, smakosz i wielbiciel spraw nie mających w oczach przeciętnego Polaka najmniejszego związku ze sobą: bo gdzie polityka, najpraktyczniejsza z umiejętności, wręcz kręctwo nieraz i Lamartine? A jednak osoba Barthou przykonywa nas, że ciągłość kulturalna we Francji sięga dalej i głębiej niż nawet to nam ukazał w swej książce Parandowski, ograniczający się wyłącznie do kwestyj językowo-literackich. Ciągłość ta jest tam jednocześnie błyskotliwą wielostronnością. Dobrze się też stało, że w *Odwiedzinach i spotkaniach* znalazło się miejsce na dwa studia o Francji i Flaubert'cie, typowych przedstawicielach myśli gallskiej. Praca o twórcy „Education sentimentale” doskonale uzupełnia nowym materiałem dawniejsze a więc nieco przestarzałe, chociaż wybitne studjum Sygietyńskiego.

Ta rozkoszna rozmaitość ostatniej książki Parandowskiego jest jakby poczęta z tej rozciągłości, ruchliwości i wszechstronności francuskiego ducha.

S. Flukowski



## WSPOMNIENIA REWOLUCJONISTKI

Jeszcze bardzo niedawno temu odzywały się głosy wyrzutów i zarzutów pod adresem literatury, że niedość gorliwie szuka drogi do rzeczywistości polskiej, takiej niepodobnej do wszystkiego, co było dotychczas. W zarzutach tych było sporo słuszności, ale nie były one bezwzględnie słuszne, czy może raczej były źle sformułowane. Literatura polska nigdy nie lekceważyła rzeczywistości, ale ją może nadmiernie syntetyzowała i formalizowała, zależnie od istniejących warunków życia i panujących szkół literackich. W przerwaniu formy treści życia malała coraz bardziej, aż wreszcie odradzała się zaczęła barokowa proza polska, żywo przypominająca prozę wieku XVIII-go.

Zdaje się, że nastąpił już przesyt pod tym względem i od wybujałości formy wracamy powoli do rzeczowej, zwyczajnej prostoty, o tyle bogatszej, o ile treść zawsze jest bogatsza i ważniejsza od formy. Eposowa prostota „Nocy i dni” Marii Dąbrowskiej i niektóre powieści najmłodszych świadczą o tym wymownie. Równocześnie poszerza się bardzo znacznie pojęcie literatury. Dawniejsza koncepcja artystowska, która wyłączała z niej każdą bezpośrednio nie przefiltrowaną przez wymagania panującej estetyki, ustępuje powoli koncepcji nowej, w której treść rozsadza formę, nieco już przyciasną i mocno nieaktualną.

Granice państwa literatury rozszerza zdobywcze, śmiałe i piękne życie, czyli rzeczywistość bezpośrednia, nie stylizowana i nie komponowana. Do najlepszych i najciekawszych książek tej nowej literatury, jakie ukazywały się w czasach ostatnich, zaliczyć trzeba „Wspomnienia rewolucjonistki” Haliny Kraheleskiej (\*). Cudowne piękno życia, stylizowane tylko wysoką kulturą moralną i niepodkupnym idealizmem autorki, przemawia tu z każdej strony i podbija serce takim samym czarem, jakim przemawia do uczuć gaj wiosenny, gdy się właśnie opuściło zgiełki i chłodne ulice wielkiego miasta.

Halina Kraheleska, która lata dziecięce i dziewczęce przeżyła w Odessie i Kijowie, już w domu rodzinnym oddychała atmosferą szlachetnego i wolnego człowieczeństwa, więc jej czujna i wrażliwa energia tem łatwiej znalazła drogę do tej organizującej się wiary, która stawiała sobie wysoki cel wyjarzmienia ludzkości z przemocy wszelkiego tyranstwa. Najpierw jako młoda dziewczyna była członkiem P. P. S. w Odessie, a gdy wiosną r. 1911 została administracyjnie wysłana z tego miasta, w Kijowie przyłączyła się do rosyjskich S. R-ów (socjalistów rewolucyjnych) i z nimi przeżyła część tych i walk i porażek, które poprzedziły ostateczne zwycięstwo nad caratem.

Były to czasy, gdy carat próbował uporać się ze wzrastającą falą rewolucji przy pomocy demoralizującej roboty prowokatorów. Kraheleska bardzo szybko dostała się do więzienia w związku z ruchami studenckimi i niejako wstępnie swej kariery rewolucyjnej zetknęła się w więzieniu z tragedią młodej uwięzionej żydówki, która oblawszy się naftą z lampki, podpaliła na sobie ubranie. Właśnie konając wśród płomieni, a klucze od celi były w kancelarii. Jak konającej wstrząsnął całym więzieniem i to trzeba było przeżyć. Po tem przyszły przeżycia inne: praca organizacyjno-rewolucyjna, zdrada, ponowne uwięzienie, tym razem długotrwałe, wreszcie sąd i skazanie na osiedlenie na Syberji. Oczywiście, wyprawianie na Syberję odbywało się etapami, czyli że skazańców przeprowadzano z więzienia do więzienia, dopóki wreszcie nie znaleźli się na miejscu przydziału.

Znamy już, te drogi krzyżowe rewolucjonistów polskich i rosyjskich, ale Halina Kraheleska wnosi do swoich opisów tyle ciekawych spostrzeżeń, że wspomnienia jej czytają się z zapartym oddechem jak jaką fantastyczną opowieść. Jej wypróbowany humanitaryzm interesuje się zawsze i wszędzie przedewszystkiem człowiekiem upośledzonym, pokrzywdzonym, cierpiącym. W więzieniach etapowych spotyka dziwne typy kobiet, spokojnych, cichych, zamkniętych w sobie. Są to albo morderczynie, albo współuczestniczki morderstw, na które sprytniejsi współoskarżeni potrafili zepchnąć całą winę. Kraheleska poświęca tym nieszczęśliwym skazankom dużo zyciwej uwagi i serdecznego współczucia, a opisuje ich postępowanie tak plastycznie, iż przy minimalnych wiadomościach psychiatrycznych widzi się tu wyraziście typ manjakałno-melancholizny, który w chwili fermentacji fizyczno-psychicznej wybuchu sporadycznie i jednorazowo, aby następnie powrócić do cichej rezygnacji i indolencji.

Niemniej plastycznie maluje Kraheleska psychikę rewolucjonistów i więźniów. Rzecz prosta, że psychika ludzi uwięzionych musi być zgoła inna, niż psychika ludzi zdrowych i wolnych. U skazańców zacieśniają horyzont nie tylko cztery ściany więzienia, ale i świadomość zmian dokonanych w ich życiu przez siłę zewnętrzna. Trzeba umieć odgrodzić się od świata, od własnych ukochań, od nalożów wolności, aby cierpieć jak najmniej. Oczywiście, na tle takiego odosobnienia wytworzą się nieraz duże dziwactwa, czy nawet psychozy więzienne. Powstaje wszakże pytanie, czy normalnie tępy człowiek dostaje się kiedykolwiek do więzienia w walce z tyranami.

czy więc rewolucjonista nie należy do tego typu ludzi twórczych, którzy w różnych dziedzinach życia walczą nie tylko z tyranją carów, ale także z tyranją skostniałych wyobrażeń i organizacji społecznych. Czy Galileusz nie poszedł do więzienia za to, że walczył z tyranją przestarzałej fizyki?

Gdy się czyta książkę Kraheleskiej o okropnych etapach, o podróży do miejsca zsyłki i o straszliwym odosobnieniu w pustce syberyjskiej, niepodobna oprzeć się wrażeń, że wszelka potęga carów jest zawsze i wszędzie okrutna. Któż to są rewolucjonisci? Są to zawsze ludzie uczuciowo i umysłowo najwrażliwsi; ich rewolucyjność rodzi się z ciępienia za miliony i z najsłabszych tęsknot i nagle tych ludzi, którzy już na wolności cierpieli od nadmiaru rliwych uczuć, nie umiejac opanować swego przewrażliwienia, odosabia się w więzieniu albo w pustkowiu syberyjskim! Jakież przemiany zachodzą w duszach takich ludzi, jak blisko podkrada się ku nim szaleństwo i rozpacz!

Jest we wspomnieniach Kraheleskiej stroniczka o wydarzeniu nie tak znowu niezwykłym, ale dziwnie głęboko wzruszającym. Na potężnej, pięknej Angarze pewnego dnia ukazał się statek angielski, czysty i ładny. Wszyscy biegną popatrzeć nań niby na symbol wolnego życia. Przyjechał, postoi sobie jak długo zechce i odpłynie kiedy zechce. Zesłańcy śpieszą popatrzeć na Anglików a mąż Kraheleskiej, który acz wolny, towarzyszył żonie w pustkowiu syberyjskim, namawia ją, aby popatrzyła na przybyszów. „Odrzucałm tę propozycję z jakimś dziwnym, wewnętrznie uzasadnionym kurczeniem się w sobie: poci mi tam iść? co mam z nimi wspólnego? Mąż mój jednak przedostał się na statek: odczuwał jeszcze normalnie, miał chęć zetknięcia się z normalnym światem. Stojąc na brzegu i czekając aż on wróci, rozmyślałam nad tem, jak musi być ciężko temu wolnemu człowiekowi, przed którym cały świat stał otworem, siedzieć tu ze mną... Ja natomiast, ja sama, czułam na sobie jakby szklaną skorupę, dokładnie osłaniającą i izolującą od styczności ze światem”. To znaczy, że tacy ludzie, jak Kraheleska, uważali się już za porzeczonych dla świata i nie chcieli rozkrwawiać serca pewnymi myślami i nadziejami. I leż tragedji takich widziały pustkowie syberyjskie!

Pokolenie Haliny Kraheleskiej doczekało się wreszcie upadku tego caratu, z którym walczyli najsłabszymi i najlepszymi i to daje książce Kraheleskiej akcenty optymizmu i wiary w zwycięstwo ostateczne. Książce tej, wyrosłej z życia dla życia, życzymy tysięcy wdzięcznych czytelników.

Paweł Hulka-Laskowski

## „POTĘGA” Neumanna

Robert Neumann. „Potęga”. Powieść. Przekład Melanji Wassermanówny. „Rój”.

Frapująca, ciekawa książka, jedyna bodaj z wielu nowoczesnych powieści o wielkich finansach, o kulisach polityki światowej, o potentatach przemysłu, ich pionkach i o Rosji sowieckiej. Napozór udrumatyzowany reportaż o walce Detertinga z naftą rosyjską i grupą Rockefellera, jest powieść Neumanna głębokim studjum psychologicznym owych mniejszych ludzi, odgrywających wtórna rolę w wielkich zapasach państw i potęg przemysłowych.

Neumann wziął za punkt wyjścia głośną w swoim czasie aferę fałszerzy czerwonońców sowieckich. Każę jednemu ze swych bohaterów, Gruzinowi, który uszedł z życiem po klęsce swej ojczyzny, być posiadaczem autentycznych klisz banknotów sowieckich. Dookoła księcia Karachana zawiązuje się węzeł intrygi, której nici prowadzą do centrali ruchów nacjonalistycznych w Niemczech, do gabinetu adwokata wiedeńskiego, zasymilowanego Żyda, pozostającego na usługach wielkiego banku do samolotu magnata Vanderzee (czytaj Detertinga) i do wielu innych miejsc, gdziekolwiek znajdzie się sposobność pokazania kulis życia ludzkiego.

Neumann jest mistrzem w operowaniu freudowską i adlerowską techniką docierania do wnętrza ludzkiego. Mecenat Rosen i jego kartka z lat dziecińczych, na której wynotował swe marzenia niemożliwe do zrealizowania, to typowy chwyt Neumanna, realisty dużej miary. Chciałoby się w niektórych etapach powieści szukać rodowodu piarstwa Neumanna w Balzacu.

Nawał realowy, tempo powieści i ironiczny dystans autora wobec swoich bohaterów pozbawiają „Potęgę” wielu cech dzieła sztuki; choć wydaje się, że autor z całą premedytacją obnaża swoją wiedzę zawodową, nie dbając wiele o artystyczny efekt swej książki. W rezultacie „Potęga”, która jest poręczającą lekturą pozostawia po sobie obok podziwu, osad niedosytu i żalu. G.

Dzieje sztuki wskazują na nieustanny rozwój możliwości twórczych, których wynikiem jest powstawanie nowych wybitnych arcydzieł i odkrywanie nieznanymi wiekom minionym środków ekspresji. Natomiast nauka o pięknie stoi wciąż na niskim stopniu rozwoju i nie dotrzymuje kroku twórczości artystycznej. Ten smutny stan rzeczy często stwierdzają współcześni nieślępieni badacze. Lalo we „Wstępie do estetyki” mówi bez ogródek o „infantylnym estetycznym”. Wysiłki uczonych zmierzają przede wszystkim do oparcia estetyki na trwałych, niezawodnych podstawach i do nadania jej charakteru naukowego. Przedstawiciele różnych szkół filozoficznych kroczą wprawdzie różnymi drogami, ale zbliża ich wspólny cel. W znakomitem dziele E. Souriaua p. t. „L'Avenir de l'esthétique” (Paryż 1929) czytamy na początku: „Ne pas laisser la philosophie (pas plus que l'histoire de l'art) compromettre l'esthétique, c'est une des idées dominantes, dans ce livre. L'avenir de l'esthétique est parmi les sciences”. Inni pisarze nie idą tak daleko w dążeniu do odłączenia estetyki od filozofii i zapewnienia jej ścisłości, lecz zato tem usilniej starają się o usprawnienie metod badania. Podejmowane są mniej lub więcej stanowcze próby krytyki i rewizji dotychczasowych wyników. Rozbrzmiewa nakaz rozpoczęcia badań nad pięknem od fundamentów.

Z podobnych założeń wywodzi się książka Stanisława Ossowskiego „U podstaw estetyki”, wydana w roku bieżącym nakładem Kasy imienia Mianowskiego i Instytutu Popierania Nauki. Rozprawa wywiera wrażenie pracy spokojnej, niemal beznamiętnej, odznacza się rzetelnością i opanowaniem przedmiotu. Rzucza się w oczy ostrość w ocenie rozpatrywanych zjawisk, cecha, o którą szczególnie trudno w okresach przemowlów kultury. Objektywizm znajduje wyraz choćby w doborze ilustracji, wśród których, co prawda, przeważają reprodukcje dzieł dawniejszych, o ustalonej wartości, lecz nie brak również refleksów współczesności (inscenizacja Schillera, Stryjeńska, hangar w Orly z 1916 roku etc.). Można by spierać się z autorem co do celowości niektórych zdjęć, ale to już inna sprawa. Terminologia odznacza się karnością i porządkiem i świadczy o dużym poczuciu odpowiedzialności za wypowiedziane słowa. Kompozycja książki dowodzi również zdyscyplinowania naukowego. Krótkie lecz bardzo ważne uwagi wstępne precyzują znaczenie najważniejszych nazw, które znajdują zastosowanie w późniejszych wywodach. Dalej następuje przegląd przedmiotów i zjawisk, wywołujących wrażenie estetyczne, dokonany przejrzysto i wielostronnie. Należy podkreślić znajomość różnych dziedzin sztuki, orientację w całokształcie twórczości artystycznej. Oczywiście nie wszystko zostało przedstawione z równą dokładnością. Na wysokim poziomie stoją zwłaszcza rozważania, poświęcone muzyce i malarstwu. Na zrebie ustalonych faktów oparta została skromna budowla poglądów ogólnych, wymierzonych oszczędnie, z wyraźną troską, by broń Boże nie oddalić się od twardego gruntu doświadczenia. Słowem, dokonany został duży wysiłek w celu nadania studjum o pięknie jaknajwiększej ścisłości i powagi naukowej.

Zdawaloby się, że przy tylu zabiegach, przy tak starannie przemyślanej metodzie próba zobiektywizowania sądów na temat sztuki winnaby dać wynik dodatni. Tymczasem, zapewne wbrew zamierzeniom autora, rozprawa zawiera wyraźne rysy naszej epoki. Można w niej wyróżnić pewne uwarstwienia, których nie udało się całkowicie zharmonizować. Najpierw książka jest zajmującym objawem zależności między różnymi, pozornie luźno ze sobą związanymi dziedzinami t. zw. nauk filozoficznych. Widoczna jest jej zależność od badań „szkoły warszawskiej”, w której zaznacza się przewaga logiki w jej nowoczesnej postaci. Skłonność do „reizmu”, nastawienie pozytywistyczne w odniesieniu do zagadnień „absolutnych”, przywiązywanie wielkiej wagi do uporządkowania nazw i określeń, staranność definicyj, niechęć do zbyt śmiałych uogólnień — oto niektóre bardziej uderzające właściwości „szkoły”, których ślady znajdujemy w omawianej książce. Na podkreślenie zasługuje zwłaszcza gwałtowne zwalczanie hipotez, jako źródła zasadniczych nieporozumień. Według p. Ossowskiego, należy odróżniać ocenę ze względu na piękno i na artyzm. „Wartości, przypisywane przedmiotom ze względu na ich piękno, są demokratyczne: każdy ma prawo o nich wyrokować. Wartości, przypisywane ze względu na artyzm, mają charakter artystyczny i decydują o nich znawcy” (str. 289). Dlatego każdy wydać może sąd o pięknie w przyrodzie, natomiast o dziele sztuki wyrokują fachowcy. Te dwie koncepcje, zdaniem autora, pomieszały się ze sobą: oceniając dzieło sztuki, mamy na myśli sztuki twórcy i naodwrot, gdy dostrzegamy artyzm wykonania, sprawia to nam zadowolenie estetyczne. W następstwie estetyka zamiast badać przeżycia mówiła o jakiejś zwartej grupie przedmiotów, posiadających wartość estetyczną, choć w istocie takiej grupy nie ma. Omyłka polega na tem, że „postuluje się istnienie odrębnej obiektywnej kategorii przedmiotów, posiadających wartość estetyczną, ponieważ istnieje odrębna kategoria przedmiotów, będących dzie-

łami sztuki”. Jak z przytoczonych słów wynika, trudności, z jakimi walczy estetyka, zostały przypisane głównie pomieszaniu terminów. Uwaga autora skierowana jest wyraźnie na tego rodzaju nieporozumienia i w ich rozwikłaniu widzi najlepszy środek usunięcia zła. Czy takie uproszczenie zagadnienia może dać korzystne wyniki? Wydaje się, że stanowisko autora jest co najmniej jednostronne. Niewątpliwie źródła słabości nauki o pięknie należy szukać głębiej.

Z formalistycznym ujęciem w części syntetycznej rozprawy łączy się niechęć do rozległych systemów i śmiałych hipotez. Dlatego też rozwiązania końcowe, które zwykle stanowią koronę wysiłków, wypadły tym razem blado i zawodzą oczekiwania. Ostatecznie mimo dużej ostrożności w uogólnieniach nie udało się p. Ossowskiemu unikać pewnych niedociągnięć. Zdaniem jego, dla wszystkich przeżyć estetycznych charakterystyczne jest „życie chwilą”. Wszystko w nich jest „bez związku z przyszłością, jest wyłączone z toku naszego życia „na serjo”; wszystko to dzieje się jak gdyby na marginesie” (str. 280). Otóż wydaje się, że o wartości estetycznej niektórych zjawisk decyduje właśnie wzgląd na przyszłość. Jeśli zachwyca się planem architektonicznym, to myślimy nie o oglądanych liniach i barwach, ale o realnym budynku, który stanowić będzie wcielenie projektu w życie. Oceńniamy plan wyraźnie pod kątem widzenia przyszłych możliwości; cała nasza uwaga skierowana jest wprzód, ku późniejszemu życiu. Ten typ doznań jest dość pospolity. Zbliżają się do niego wypadki, w których w grę wchodzi wyobrażenie celowości. Zatem podana definicja jest albo zbyt wąska, albo też mogłaby zadowolić jedynie po skomplikowanych, nieintuicyjnych wyjaśnieniach.

Pewne cechy rozprawy wskazują, że należy ona do epoki, która ma za sobą burliwy okres walk artystyczno-literackich, ścierania się różnych sposobów wartościowania, narodziny i upadki doktryn artystycznych. Z tego odmetu wyłoniło się poczucie względności ocen i przeżyć estetycznych. Określenia synonimiczne: „piękny”, „estetyczny”, „budzący zachwyt” stosuje autor do różnorodnych przedmiotów i zjawisk, poczynając od wrażeń elementarnych, jak pojedyncze barwy i tony, poprzez układy i różne sposoby odzwierciedlania rzeczywistości aż do funkcji wyrażania stanów psychicznych. Stwierdza również, że niejednakowe są pobudki, które woleją określenie „piękny”; czasem np. zadowolenie estetyczne rodzi się na tle seksualnym, kiedyindziej towarzyszy abstrakcyjnym procesom myślowym. Tego chaosu czynników nie można sprowadzić do jakiejś jednolitej zasady. Toteż wysunięty został wniosek, że „w stosunku do zagadnienia, co się wartościuje w sądach estetycznych, możliwe jest tylko stanowisko pluralistyczne”.

Pragniemy wreszcie wskazać na moment, który stanowi jedną ze słabszych stron stanowiska autora. Chodzi o kryterjum, które pozwala na odróżnienie przedmiotów pięknych od niepięknych. Wstęp zawiera oświadczenie, iż o wyborze materiału rozstrzygnie „ustalona mniej więcej reputacja estetyczna”. Przez kogo ustalona — o tem niema wzmianki. Nie została dokonana próba wyraźnego określenia zakresu rozważań. Bierze się się pod uwagę sądy przeciętne. Takie postawienie kwestji możnaby określić jako liberalizm estetyczny.

Rozprawa p. Ossowskiego, rozpatrywana od strony estetyki, jest wielostronnym aktem rezygnacji. Rezygnuje się w niej z prób sprowadzenia różnorodności przeżyć piękna do jednej zasady; rezygnuje się z wyrażonej charakterystyki przeżycia estetycznego; rezygnuje się z estetyki, jako samoistnej dziedziny poznawczej, a jej zakres powiększa się innym naukom. Autor zstępnie do podstaw estetyki nie po to, aby je umocnić, lecz by wykazać ich włąłość i udowodnić konieczności oparcia gmachu wiedzy o pięknie na nowych fundamentach. Czy taka rezygnacja została w pełni uzasadniona? Czy da ona dostateczny pokarm potężnej intuicji, która od wieków upatrywała jednolitość w całej dziedzinie przeżyć estetycznych, niezależnie od wywodów teoretyków? Trudno było pogodzić się z mistycznym wywyższaniem piękna do godności absolutu, lecz i skrajne stanowisko pluralistyczne budzi uczucie niepewności. W każdym razie autor nie zdołał przekonać czytelnika, że wszystkie możliwości jednolitego ujęcia piękna zostały wyczerpane.

Książka p. Ossowskiego posiada poważne zalety wykładu i metody. Poczynione uwagi miały charakter nietyłe krytyki, ile notatek na marginesie, i zmierzają głównie do wykazania zależności nawet tak obiektywnych rozważań od bieżących nastrojów. Widać wyraźnie, jak trudno mówić o pięknie językiem ścisłych pojęć, bez domieszek pierwiastków subiektywnych, jak trudno ująć je w ramy dokładnych kategorii naukowych. Mimo to dziedzina piękna nie może pozostać poza sferą badań specjalnych. Zbyt wielką odgrywa rolę w życiu ludzkości, zbyt bogatą ma za sobą tradycję. Nieraz jeszcze wypadnie wrócić do podstaw estetyki a wówczas omawiana rozprawa będzie dla nowych poszukiwaczy nietyłe zwrotnicą, ile — sygnałem ostrzegawczym.

Mieczysław Giergielewicz

\*) Halina Kraheleska, Wspomnienia rewolucjonistki. Warszawa 1934. Wydawnictwo M. Fruchtmanna. Str. 291.

JERZY TOEPLITZ

# PRZYKRA ATMOSFERA

Organizacja produkcji filmowej jest pierwszym zasadniczym punktem programu odbudowy, a raczej podstawowej reformy polskiej kinematografii. Program jednak na tym punkcie nie zostaje wyczerpany, nie wystarczą bowiem wzorowe wytwórnie i nie na wiele się zda uczciwa i rzetelna kalkulacja, jeżeli nie zmieni się atmosfery, w której tkwi od lat film polski. Nie ulega wątpliwości, że uregulowanie spraw przemysłowo-kupieckich jest rzeczą niezmiernie ważną, jeżeli jednak chodzi o właściwy, przyzwoity poziom artystyczny nakręcanych w Polsce filmów, to tu organizacja przemysłu filmowego jest tylko etapem wstępnym a decydującą sprawą jest uzgodnienie działań tych czynników, które wpłynąć mogą na rozwój sztuki filmowej, a więc: prasy fachowej i niefachowej, sfer rządowych, stowarzyszeń artystycznych i awangardowych. Te trzy czynniki odgrywają w świecie filmowym rolę doniosłą, dzięki nim bowiem działania filmowych producentów podlegają kontroli artystycznej, a użyteczność względnie szkodliwość społeczna wyświetlanych filmów jest odpowiednio oceniana.

Uzgodnienie działań trzech wyżej wspomnianych czynników doprowadzi w rezultacie do organizacji konsumenta filmowego, a bez uporządkowania życzeń i interesów odbiorców, którzy jako ostateczna instancja decydują o losach produkcji, wszystkie najpiękniejsze nawet plany reform spalić muszą na panewce, trudno bowiem produkować filmy dobre formalnie i treściowo, jeżeli atmosfera w której odbywają się procesy produkcji i konsumpcji jest, wyrażając się ogólnie, nieodpowiednia i przykra. Tak samo, jak prowadzenie konsekwentnej polityki teatralnej, czy muzycznej wymaga konsolidacji wysiłków wszystkich, którym na sercu leżą sprawy dobrej muzyki, czy dobrego teatru, tak samo na odcinku filmowym taka konsolidacja i jasne sprecyzowanie celów i środków działania jest rzeczą niezbędną, zwłaszcza, że ten nieszczęśliwy odcinek filmowy jest zabagniony i zrujnowany, a niszczycielska polityka branży filmowej, przez nikogo nie kontrolowanej, a przez opinię publiczną lekceważonej, przyczyniła się do wytworzenia stosunków hańbiących, niespotykanych nigdzie na świecie i niesłychanie utrudniających postawienie polskiej kinematografii na właściwym poziomie.

Zacznę od prasy filmowej. Jest publiczną tajemnicą, że krytyka filmowa nie wpływa wcale na powodzenie lub niepowodzenie filmu, jest „quantité negligéable”, tolerowaną łaskawie przez redakcje pism i właścicieli kin. Dlaczego tak się dzieje? Odpowiedź na to pytanie nie jest trudna. Dlatego, że od paru dobrych lat *nie ma poważnej krytyki filmowej*. O ile w krytyce teatralnej, czy literackiej sytuacja w ostatnich latach zmieniła się na korzyść, o tyle w krytyce filmowej czasy, w których pisywał Karol Irzykowski, awangardzista Anatol Stern i kiedy pełna zapалу M. J. Wielopolska redagowała dodatek filmowy w „Głosie Prawdy” i tygodnik „Kino-teatr” a w „Gazecie Warszawskiej” była recenzentką L. Ciecchanowiecka, są dziś niedoścignionym ideałem. W większości pism warszawskich recenzent filmowy jest akwizytor, zbierającym ogłoszenia kinowe, a ocena filmu pozostaje w ścisłym związku z sumą wpłaconą za anon. W potężnym koncernie, wydającym trzy pisma codzienne i parę tygodników, dział filmowy nie podlega zupełnie redakcji — niezwykle zjawisko ilustrujące smutny stan polskiej prasy filmowej. W drugim koncernie prasowym dopiero od niedawna wprowadzono w kolumnie artystycznej — dział filmowy, dobrze prowadzony przez A. Ruskowskiego, a przez szereg miesięcy i tu panowały niepodzielne rządy administracji i delegowanego przez nią akwizytora-recenzenta. W organach tych koncernów zła recenzja z filmu zjawiała się tylko wtedy, jeżeli między kinem, względnie biurem filmowym a wydawnictwem nie nastąpiło porozumienie co do haraczu ogłoszeniowego.

W pismach niezależnych, względnie pseudo-niezależnych, recenzje pisują przeważnie panie, które dział filmowy objęły z tych, czy innych zakulisowych względów redakcyjnych. Są pośród tego legjonu pań, zajmujących się krytyką filmową, osoby o dużym talencie

dziennikarskim, o niewątpliwej kulturze i oświadczenie „literacko-artystycznej”, mało jednak jest osób fachowych, mających niewątpliwie kwalifikacje do objęcia odpowiedzialnego stanowiska krytyka filmowego. Tłumaczy się to tem, że filmu większość redakcyjnych pism poważnie nie traktuje, poza „szeszszącymi” korzyściami dla administracji nic w nim godnego uwagi nie widząc. O tem, że tu trzeba mieć jakieś kwalifikacje — napewno ani piszącym recenzje, ani angażującym recenzentów, do głowy nie przychodzi. O tem, że takie lekceważenie krytyki filmowej doprowadza do rozpanoszenia się na ekranach potwornych kiczów, że te potworne kicze skolei deprawują publiczność, odwracając ją od dobrego teatru i dobrych książek, że zło kino jest klęską społeczną — to są rzeczy nie dochodzące zdaje się do świadomości kierowników prasy tak codziennej, jak periodycznej, tak stołecznej, jak prowincjonalnej, chociaż lojalnie stwierdzić trzeba, że na prowincji (Lwów i Wilno) krytyka filmowa stoi na ogół wyżej, niż w Warszawie...

Nie chcę być w zarzutach swych głosów, a jeżeli przytoczę tylko kilka przykładów, ilustrujących poziom, a raczej brak poziomu polskiej krytyki filmowej, czynię to wyłącznie nie spowodu „embarras de richesse”. Nie kilka a kilkaset przykładów możnaby zacytować, a przytem rodzajów, odcieniów i odmian świętej naiwności, lub karygodnej lekkomyślności jest niezmiernie dużo. Czy nie jest karygodną lekkomyślnością robienie z każdego ukazującego się filmu polskiego — wydarzenia przełomowego, zwastuna nowej ery, pierwszego „nareszcie” (to „nareszcie” jest cyniczne) dobrego filmu polskiego? Czy nie jest przesadą, i to niezdrówą przesadą, napisane przez M. J. W. w „Kurjerze Porannym” o „Jego ekscelencji subjeckie” — „pierwsza BEZ JEDNEGO BŁĘDU (dużymi literami) komedycja ekranowa polska”, a przez Zastępcę w tym samym „Kurjerze Porannym” o „Zabawce”, jako „filmie z serji lepszych, dających nadzieję na rozwój polskiej kinematografii”? Czy nie jest jaskrawym niedbalstwem w pochlebnej naogół recenzji o „Szpiegu w Masce”, wypisanej przez (m) w „Gazecie Polskiej” ze streszczenia filmu, przez połączenie ról profesora i jego syna w jedną? Czy wypada, by w „Wiadomościach Literackich” w sprawozdaniu z filmu „Drewniane Krzyże” zrobiono z aktora Pierre Blanchar — reżysera, a w innej znów recenzji na marginesie zaznaczono, że „Błękitny express” jest utworem nie Eisensteina, a Trauberga? Czy nie jest rzeczą niesmaczną po złośliwie, napisanej z talentem, ale bez cienia argumentacji krytyce z „Przebudzenia” w „Gazecie Warszawskiej” (H. P.) umieszczenie w sprawozdaniu z „Portu San Diego” tak niepokojąco szczerych zdań: „Wolimy takie filmy, niż wystawowe komedje rewjowe, niż pretensjonalne i nieudane próby wydobywania z filmu nowych wartości. *Nie każą nam tu nad niczem się zastanawiać, niczego domyslać — fabuła pracuje za nas i do niej należy ostatnie słowo*”?

Parę tych przykładów wystarczy, by zrozumieć, dlaczego każdy nowy film jest reklamowany jako super-przebój, jako przełom i rewelacja sezonu, dlaczego kina drukują w programach nazwiska znanych reżyserów, którzy nic wspólnego nie mają z wyświetlanym obrazem, dlaczego biura filmowe i kina zgodnie, lub niezgodnie okłamują publiczność, drukując szumne komunikaty, z każdego niemieckiego filmu robiąc arcydzieło kinematografii francuskiej i co drugi film rosyjski przypisując Eisensteinowi, albo Pudowkinowi. Prasa na te rzeczy nie reaguje, pręsto to nie nie obchodzi, prasa drukuje tylko gorzej lub lepiej napisane impresje filmowe, z których poza streszczeniem, często nieścisłym, czytelnik nic o zaletach i wadach filmu nie może się dowiedzieć, a często nawet zamiast takiej luźnej, a wodnistej impresji prosto komunikat reklamowy, suto przez kino, lub biuro wynajmu zapłacony.

Znajdą się napewno obrońcy tego stanu rzeczy, z dowodami, że zagranicą dzieje się nie lepiej. Dowody te są tylko w części prawdziwe — istnieją na Zachodzie płatne komunikaty i polityczne akwizytorskie sztuczki, ale obok nich mamy poważny odłam prasy

fachowej i niezależnej. W Polsce ta niezależna i fachowa prasa znajduje się w stanie chronicznego niedorozwoju, co dopomaga przeróżnym niebieskim ptakom, geszefciarzom i typom spod ciemnej gwiazdy do prezentowania polskiej kinematografii. Nieocenianie roli prasy filmowej i krytyki filmowej przez poważne nieraz wydawnictwa, rozpanoszenie się akwizytorstwa, tolerowanie nieuczciwa i niedbalstwa recenzentów — to lista grzechów najpoważniejszych. Kto wie, czy gdyby przetrwały do dziś dnia tradycje Sterna i Irzykowskiego, gdyby nie nastąpił zalew ignorancji i „ogłoszeniowa choroba”, może nie mówilibyśmy w szesnastym roku niepodległości o budowie od podstaw filmu polskiego...

Krytyka filmowa musi widzom mówić o filmach oglądanych rzeczy istotnie, motywować swe wyroki i argumentować, nie bawić się w zakulisowe względy, a przedewszyst-

kiem traktować te sprawy poważnie, na nie marginesie i od niechcenia...

Poważna, a przedewszystkiem niezależna krytyka filmowa przyczyni się niewątpliwie do otrzeźwienia polskich producentów, którzy znęcani łatwymi sukcesami i brakiem oporu, brną dalej w ślepych zaułku, rzucając na rynek szmelc bez wartości, przyjmowany z entuzjazmem przez recenzentów. Odrodzenie polskiej prasy filmowej jest warunkiem sine qua non odbudowy filmu polskiego, nie można bowiem dawać ciężko choremu kosztownych lekarstw, poddawać go skomplikowanym kuracjom, pozbawiając go jednocześnie świeżego powietrza.

O roli dwóch dalszych czynników: sfer rządowych i stowarzyszeń awangardowych pomówię w ostatnim artykule, omawiającym sprawę reformy polskiej kinematografii, a poświęconym talentom reżyserskim i wykształceniu filmowemu.

## MIT SZKOLNY

Nowoczesna socjologia pedagogiczna, będąca jedną z najmłodszych dyscyplin w obrębie nauki o wychowaniu, pozwoliła nam w życiu szkoły dojrzeć niejedno, czego dawna pedagogika nawet nie przeczuwała. Do takich najcenniejszych zdobyczy, które zawdzięczamy socjologii pedagogicznej, należy niewątpliwie zrozumienie wartości społecznych, tkwiących w zbiorowości młodzieży, a tem samem też zdobycie nowego, niezmiernie skutecznego, acz trudnego, instrumentu pedagogicznego w postaci oddziaływania na tę zbiorowość, organizowania jej i przekształcania na żywy twór samowychowawczy.

W ten sposób młodzież szkolna, której dawna szkoła nie uznawała za czynnik współdziałający w procesie wychowawczym, traktując ją wyłącznie jako materiał bierny, staje się w świetle nowych poglądów pedagogicznych pierwszorzędnym czynnikiem twórczym. Wyrazem tych zmienionych poglądów jest tak niezmiernie żywa i charakterystyczna dla nowej szkoły akcja w zakresie t. zw. organizacji młodzieży z górującą nad niemi ideą samorządu. Idea ta, bogdaj czy nie najbardziej krzycząca się dziś w Polsce, załamuje się jednak często o nadmiar i przewagę formy nad treścią, tudzież o pewien zasadniczy brak, wynikający z opaczności, gdyż zbyt jednostronnego ujmowania samej idei samorządu, jako instytucji zupełnie autonomicznej, wykluczającej bezpośrednie i głębsze oddziaływanie ze strony wychowawcy. A przecie samorząd jest organizacją nie tylko samowychowawczą, lecz i wychowawczą, istotą zaś wszelkiego wychowania jest pewna swoista kooperacja wychowawcy z wychowanymi.

Nie tu miejsce na bardziej szczegółowe na ten temat rozważania, to jedno tylko należy podkreślić, że w żadnym zakresie pracy wychowawczej twórcza rola wychowawcy całkowicie usunięta być nie może, choć jako twórca właśnie, musi być na różnych odcinkach tej pracy różna, i do swoistych warunków przystosowana. Zależy to zresztą nie tylko od rodzaju samej pracy wychowawczej, lecz i od indywidualności wychowawcy i specyficznego jego stosunku do kierowanej przez siebie młodzieży. Są pedagogowie, którzy wiele wolno, więcej, niżby to wynikało z samych założeń teoretycznych. Na żadnym bowiem polu działalności ludzkiej nie sprawdza się tak wybitnie humanistyczna teza: że człowiek jest wszystkim.

Takie ogólnopedagogiczne refleksje nasuwają się przy lekturze książki „Sztandar Szkolny”, która wyszła z pod pióra znakomitego pedagoga, dyrektora Wiktora Ambroziewicza. Działalność pedagogiczna dyr. Ambroziewicza, zrazu na terenie gimnazjum w Chełmie, obecnie zaś gimnazjum im. Króla Stefana Batorego w Warszawie, charakteryzuje się najogólniej tem właśnie nader szarmonizowanym współdziałaniem czynnika kierowniczego, reprezentowanego przez dyrektora i jego grono nauczycielskie, oraz samej młodzieży. Jest w tem pewien niewątpliwie z indywidualnością samego kierownika związany umiar, równie daleki od sztywności starego reżimu szkolnego, jak i od przesadnego liberalizmu pewnych zbyt radykalnych kierunków „nowej szkoły”, jest żywa i oryginalna twórczość połączona z rozwagą i powagą wychowawcy, pełnego poczucia odpowiedzialności za powierzoną sobie młodzież.

Tu tylko kilka uwag o pewnym szczególnym momencie wychowawczej pracy dyr. Ambroziewicza, nakreślonym we wspomnianej książce.

W książce tej opowiada dyr. Ambroziewicz w sposób nader prosty i skromny, lecz zarazem plastyczny i przepojony głębokim nurtem uczuciowym o dziejach „Sztandaru szkolnego” w gimnazjum chełmskim, o stopniowem narastaniu tego symbolu w żywą treść emocjonalną i ideową, i o jego wielkiej roli wychowawczej w kształtowaniu duchowej postawy młodzieży.

\*) Na marginesie książki Wiktora Ambroziewicza: *Sztandar szkolny*. Nakładem Naszej Księgarni, Warszawa 1934.

Ten „sztandar szkolny”, ta napozór marząca rzecz, staje się oto przez prawdziwą magię urodzonego wychowawcy czemś niezmiernie żywym, czemś skupiającem w sobie w postaci widomej najczystsze, najszlachetniejsze, najwznioślejsze uczucia i marzenia młodzieży, czemś wyrażającym najgroźniejsze jej ideały i ślubowania, czemś wiążącym niewidzialną a jakże serdeczną więź kilka setek dusz młodych z sobą i z duszami swych wychowawców, a przedewszystkiem z duszą swego naczelnego wychowawcy.

Było to zresztą zawsze i jest istotą wszelkiego prawdziwego sztandaru, pod którym staje grupa ludzi, zespolonych jedną myślą, jedną wiarą, jednym chceniem. I to też stanowi tajemnicę tego niezmiernie głębokiego wpływu wychowawczego, jaki wywiera sztandar na skupionych wokół siebie ludzi. Zazwyczaj jednak dzieje się tak, że ludzie ci z tych czy owych przyczyn porwani jednym duchem stają samorzutnie pod swoim sztandarem. Inna sprawa, gdy chodzi o świadomą sztukę tworzenia takiego żywego sztandaru. I z nią to właśnie spotykamy się w dziejach „szandaru szkolnego”, opowiedzianych przez dyr. Ambroziewicza.

Rzecz ze stanowiska pedagogicznego zasługuje na głębszą uwagę. Dziś, gdy z jednej strony zdajemy sobie coraz lepiej sprawę z istoty i znaczenia „ducha zbiorowego”, a z drugiej coraz usilniej pragniemy kształtować psychikę obywatelską młodzieży, „eksperyment” a raczej czyn dyr. Ambroziewicza staje się niezmiernie pouczającym, staje się wręcz drogowskazem. Umiejętność organizowania mniejszych, „klasowych” grup młodzieży szkolnej nie należy już dziś do rzadkości. Wszelako nie częsta jeszcze jest umiejętność organizowania całej młodzieży, skupionej w pewnej szkole, w jeden wielki, ożywiony wspólnym duchem zespół życia, pracy i dażeń. Bez takiej zaś wspólnoty szkolna będzie zawsze czemś sztucznym, zaszurowanym, i nie stanie się nigdy tem, czem być powinna t. j. żyjącym a temsamem prawdziwie samowychowawczym tworem. Bez takiej też wspólnoty nie może być mowy o prawdziwie obywatelskim wychowaniu, którego niezbędnym warunkiem jest taka właśnie zbiorowa organizacja młodzieży, jako najbardziej blizkiej swej wewnętrznej różnorodności zbliżona do rzeczywistej organizacji społecznej.

Jak ją wytworzyć — to tajemnica twórczego wychowawcy. Recepty tu, jak gdy o wszelką twórczość chodzi, niema i być nie może. „Sztandar szkolny” dyr. Ambroziewicza to tylko jeden, poprawda święty przykład takiej twórczości. Wszelako drogę i sposobów jest tu napewno tyle, ile — wybitnych indywidualności.

Wszak sam dyr. Ambroziewicz na terenie obecnej swej pracy t. j. gimnazjum im. Batorego wytycza sobie już dalsze, nowe drogi. Organizacja t. zw. czwartków wychowawczych, obchodów i uroczystości szkolnych a ostatnio wręcz wspomniane pomysła i zrealizowana praca nad idea batoriańska, jako naczelną, przewodnią, sztandarowa idea zakładu szkolnego — to tylko nowe sposoby, mierzące do urzeczywistnienia tej samej myśli, której służył i chełmski „sztandar szkolny”: myli o konieczności duchowego zesolenia całej młodzieży zakładu jedną wielką ideą — sztandarem, jednym mitem szkolnym.

Józef Mirski

Nakładem „Drogi” ukazało się drugie wydanie książki

ADAMA SKWARCZYŃSKIEGO

„MYŚLI O NOWEJ POLSCE”

Cena zł. 4.—

(Dla Prenumeratorów „Drogi” zł. 2.50)

Książka jest do nabycia w Administracji „Drogi” (Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 2.75-34. Konto P.K.O. 0.518) i w księgarniach stołecznych i prowincjonalnych.

# NA SCENACH STOLICY

„Mazepa” — tragedia w 5 aktach Juliusza Słowackiego na scenie Teatru Wielkiego (Teatru Kameralnego). Reżyserja — dr. Rórnard Bujanski. Dekoracje — M. Róznanski. (Dn. 26.IV. 1934).

Piękny wieczór jubileuszowy, podczas którego świat kulturalny stolicy oddał hołd znakomitej zasłudze Karola Adwentowicza, niezupełnie jest miarodajny dla oceny wartości samego jubileuszowego widowiska: to co ujrzelismy na wielkiej scenie Teatru Wielkiego oczywiście dalekie było, jako całość, do doskonałości; czyż jednak można przewidzieć, do jakiego stopnia zuchwały pomysł wystawienia „Mazepy” na małej scenie Teatru Kameralnego stał się sukcesem, skoro inny pomysł również zuchwały — „Hamlet” — tak interesującym był przedstawieniem?

Na ukameralnieniu „Mazepy” zyskać może, rzecz prosta, donośność przepięknego wiersza Słowackiego — natomiast styl tej tragedji, grawitujący pomiędzy stylem Victora Hugo i Fryderyka Schillera, raczej do ukameralnienia się nie nadaje: nie chodzi w dziele Słowackiego o przybliżenie treści słów do ucha gry teatralnej, do gestu od kulis do kulis, do intrygi rozbitej na szereg planów, do scen ensemblowych. Rzecz to niezmiernie charakterystyczna, że ten kamerynowy Otello młodej muzy Słowackiego bynajmniej nie jest studjum psychologicznym, ale że raczej jest on centralną postacią sytuacji tragicznej, na którą składa się tyleż złowrogich przypadków, co potęgi słowa, wszystko to dostatecznie usprawiedliwiającego.

Zagadnienie Słowackiego jest dla teatru polskiego niezmiernie dojmujące. Najłatwiej daje się ono rozwiązać przez stwierdzenie zmniejszonej aktualności stylu jego teatru i wycofania go z repertuaru na czas pewien. Takie jednak postawienie kwestji jest bardzo dla teatru krzywdzące — pozbawia się jedno pokolenie żywego kontaktu z poetą, który między poetami polskiego teatru zajmuje przecież miejsce — Szekspira.

Słowacki jest dramaturgiem — aktorskim. Jego wiersz nieco niweluje różnice pomiędzy poszczególnymi osobami, jednak ogień tego wiersza daje każdemu wykonawcy niezmiernie dużo materiału emocjonalnego, z którego zbudować można plastyczną figurę sceniczną. Tylko że dla osiągnięcia zwycięstwa, które tak bardzo leży w interesie teatru polskiego, trzeba obsadę aktorską niezmiernie troskliwie dobierać: teatr Słowackiego jest w chwili obecnej w niebezpieczeństwie — nie można tej sprawy przegrać dlatego tylko, że się jej nie doceniało.

Teatr Polski zapowiadał w repertuarze tegorocznym wystawienie „Lilli Wenedy”. Uczynił jednak słusznie, odkładając to przedsięwzięcie do następnego roku, nie posiadał bowiem właściwej obsady dla wystawienia tej tragedji. W Polsce jest jednak obsada doskonała dla „Lilli Wenedy”, można ją zgrupować na jednej scenie i bitwę wygrać. Bitwa taka tembardziej jest potrzebna, skoro pomieszczenie pojęć i kapryśna dowolność w przewartościowywaniu niedość uświadomionych sobie wartości dochodzi do takich dziwolągów, jak ten, że poważne pismo literackie niedawno zakwalifikowało nagle „Lillę Wenedę” jako jeden z najsłabszych utworów Słowackiego, „Lillę Wenedę”, która dotąd słusznie uchodziła właśnie za najwyższy szczyt dramaturgji autora „Mazepy”.

Mimo świetności swego talentu, raczej nie powinien Adwentowicz grać Wojewody w „Mazepie”, postaci monolitowej, ukutej z jednej bryły, jakby ogień i siarka zamknięte zostały w tej straszliwej postaci, w której namiętność rośnie jak wulkan, we wszystkim znajdując podniętę, w niczem ochłodę. Adwentowicz jest przecież artystą przekonaną opartego na intelektualnych przesłankach. Jest logistą, podsycającym przez ogień słuszności. Jest analitykiem trawiących go pewników. Tego wszystkiego niema w Wojewodzie. Wojewoda jest samą namiętnością, trzymającą rozum przed bramą, jak pacholka, którego można użyć do posług, ale którego nie można nigdy dopuścić do rozmowy z panem: Rzecz prosta, że i jako Wojewoda miał Adwentowicz wiele momentów silnych

i pięknych, ale postać sama nie budziła grozy — raczej wywoływała zdziwienie.

Wśród innych wykonawców ujrzelismy oddawna niewidzianego p. Józefa Sliwickiego w roli króla Jana Kazimierza. Był to niezmiernie trafnie wycyelowany konterfekt ubioru, postaci i maski, mówiący świetnie wierszem i pełen wewnętrznej prawdy. Również udaną postacią w zespole był p. Wyrzykowski jako Mazepa. Młody artysta mówił wiersz bardzo dobrze, miał trafność gestu i szczęśliwie utrafił koordynację całej postaci, pomyślanej przez dramaturga bardzo teatralnie.

Amelja jest jedną z tych postaci teatru

## BIBLIOTEKARSKI FIRMAMENT

Poradnia Biblioteczna warszawskiego Koła Związku Bibliotekarzy Polskich wydała katalog informacyjny pod tytułem „Książka w Bibliotece”. Publikacja ta należy do rodzaju t. zw. książek pożytecznych, więcej nawet, bo potrzebnych. Poradnia Biblioteczna uzyskała więc słusznie zasilek Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego na wydanie tej książki, która mogłaby być pożyteczna i potrzebna — gdyby — — —

Każdy, kto weźmie do ręki ten okazały tom, dozna wrażenia, że wykonano tu „kawał pracy”, że anonimowi układacze tej książki pod redakcją p. Wandy Dąbrowskiej i przy współudziale znanego fachowca p. Jana Muszkowskiego zasłużyli się bibliotekarstwu, a może także i czytelnictwu naszemu — gdyby — — —

W przedmowie wyjaśniono nam właśnie cel i metodę, przyznając się naiwnie do przekroczenia linii demarkacyjnej, dzielącej historię literatury i krytykę od bibliotekarstwa. Chodzi tu o klasyfikację wartości książki za pomocą — gwiazdek. Katedra Katalogu Informacyjnego chciała więc mieć „swoje zdanie” i zdanie to sugeruje bibliotekom publicznym, prywatnym, słowem — czytelnikowi.

Przez honorowanie, albo nie honorowanie utworu gwiazdką rozstrzyga Informator wprawdzie nie kategorię, ale katalogowo — artystycznym, treściowym, moralnym i społecznym poziomie wynotowanej książki. I to właśnie jest zarówno kategorię, jak i katalogowym błędem publikacji. Odbiera jej bowiem odrazu znaną bezstronność, a co gorsza, nadaje jej pretensjonalną pozę wyroczni w sprawach literatury. Nic dotąd nie uprawniało redaktorki Informatora do oceniania książek, jej fach — jak sądzi bibliotekarski — nie ma nic wspólnego z naukową, literacką, krytyczną oceną książki.

Dlatego też trudno dotrzeć do źródła kryteriów, które mi posługiwała się redakcja Informatora bibliotecznej. Co naprzykład spowodowało, że „Serce” E. Amicisa oznaczono tylko jedną gwiazdką, a Deotymy „Panią z Okienka” otrzymała — dwie? „Moim zdaniem” należy się „Sercu” conajmniej pięć gwiazdek! Dygasiński (w dziele książek dla młodzieży) jest w ogóle bez szansy, a Korczaka obdzielono z zawstydzającym skąpstwem.

## „JEDNORÓG” i WĄSOWICZ w IPS-ie

Krakowski cech „Jednoróg” znamy już z wystaw w Zachęcie w ub. latach. Ma on przeważnie tendencje zbliżone do postimpresjonistów — kiedy analizując barwę, załatwia się z formą malarską dosyć symplicystycznie. Niemniej malarstwo tej grupy zawiera w sobie wiele szlachetniejszych akcentów w szczerem i bezpretensjonalnym wypowiedzianiu wrażeń zewnętrznych kolorami. U niektórych wystawców razi nas jednak zbytne nadużywanie barw czystych, użytych częstokroć niewłaściwie w zwalczających się wzajemnie przeciwstawieniach, jak np. u M. Jabłońskiego. Znacznie więcej taktu kolorystycznego posiadają natomiast prace S. Müllera, R. Orszulskiego, Z. Radnickiego a zwłaszcza u seniora cechu, J. Hryniewskiego. J. M. Brzeski nie ma zbyt wiele wspólnego z panującymi powszechnie w „Jednorogu” ideowym régime'm. Można by tego zdolnego malarza „zaszufladkować” ostatecznie do „Ecole de Paris” — w nienajgorszym, rozumie się, znaczeniu, gdzie chodzi głównie o dopracowanie się własnego oblicza na podstawie doświadczeń innych — przy mądrej selekcji zdobytego materiału. W tem znaczeniu obce wpływy stanowią zaledwie substrat albo punkt wyjścia dla własnej sztuki — które nie decydują jednak o punkcie dojścia.

W malarstwie Brzeskiego możemy łatwo rozróżnić pierwiastki własne i obce — przyznać jednak musimy, że te ostatnie w stosunku do reszty są jedynie jakgdyby zapożyczonym frazesem, bez istotnego znaczenia dla formy malarskiej.

Rzeźby M. Gorełówny noszą jeszcze na sobie ślady szkolnego myślenia. Rzeźbiarka wystawiła jednak dwie pełne wyrazu prace („Literat” i „W dybach”) przeciwstawiając

Słowackiego, którym nigdy niepodobna dogodzić. Nie dogodziła jej przed dziesięć laty Romanówna, nie dogodziła i teraz Grywińska. Jak w Lilli Wenedzie, „anielskość” postaci, jest w Amelji nie teoretycznym dezzyderatem, ale czemś niezmiernie konkretnym: trzebaby poprostu na całym świecie szukać właśnie takiego timbru duchowego, jaki sobie poeta upodobał. Oczywiście momenty dramatyczne wypadły w grze p. Grywińskiej najlepiej.

Godnie prezentowała się p. Rotter-Jarńska jako Kasztelanowa, p. Łuszczewski zaś w roli Zbigniewa uczynił bardzo wiele, aby zasypać przepaść, dzielącą go od repertuaru poetyckiego, a wykopaną przez długoletnią służbę w utworach zupełnie odmiennych.

W. Z.

niecznie o stempel kierunkowej przynależności tego artysty — to powiemy np., że uprawia on obecnie malarstwo t. zw. „tonowe” (w przeciwieństwie do „kontrastowego”) — gdzie wszystko sprowadza się do zasadniczego kamertonu, czyli do jednej, podstawowej gamy chromatycznej. Rodowód tego malarstwa? Ależ oczywiście malarstwo muzealne, Rembrandt, Poussin, z nowoczesnego zaś Cézanne i Gromaire — nade wszystko zaś Holendrzy. Przechodząc od tonu do tonu — wprowadza artysta częstokroć niespodziane akcenty — które podnoszą urok i siłę tonów dominujących. Kolor lżejszy opiera się tu na cięższym — a przytem każda plama barwna ma swą własną niejaką treść wewnętrzną, opracowaną i przemyślaną z niebyłymi siłkami woli i malarskiej wiedzy. Forma uproszczona, sprowadzona do rudymen tarnej techniki niemal stereometrycznej — posiada jednak wdzięk a zarazem siłę prymitywu, wyrażając w swój treści życiowej zwykłe, codzienne czynności szarych, bezpretensjonalnych monad ludzkich.

Wystawa Wąsowicza powinna wreszcie wyzwolić naszą krytykę artystyczną z tych jej istic rekordowych zakłamań.

K. Winkler

## KRONIKA ZAGRANICZNA

O POLSCE W LITERACKIEJ PRASIE NIEMIEC

W „Das Deutsche Wort”, tygodniku, który objął dziedzictwo dawnej „Literarische Welt” ukazał się list z Warszawy pióra A. v. Guttry. Korespondent pisma niemieckiego zdaje sprawę z ważniejszych wydarzeń życia kulturalnego ostatnich miesięcy, kładąc szczególny nacisk na sprawę realizacji *Akademii Literatury* i sukcesy wielkiego repertuaru romantyków niemieckich na scenach warszawskich. Warto zaznaczyć, że jest to bodaj pierwszy większych rozmiarów obiektywny artykuł informacyjny o Polsce, jaki się ukazał w literackiej prasie niemieckiej po przewrocie hitlerowskim.

OFENSywa POWIEŚCI SOWIECKIEJ

Po krótkim okresie „pierzyski” nastąpiła w ostatnich miesiącach wielka ofensywa powieści sowieckiej na Polskę. Szczególny sukces odniosła twórczość czołowego bezspornie pisarza Rosji sowieckiej Szolochowa. Po „Zorany ugorze” (Rój) wydało to samo wydawnictwo dawniejszą powieść Szolochowa „Cichy Don”. Na dalszych miejscach postawić należy: Wieresajewa „Siostry” (Wyd. Plomien), Katajewa „Naprzód, czasie!”, Pilniaka „Ou kej” i „Korzenie japońskiego słońca” — jedna z dawniejszych prac tego pisarza (wyd. „Mewa”), Tichonowa „Gazy, gazy...” (wyd. Współczesne), Romanowa „Własność” (Mewa).

Poniżej wszelkiego poziomu znajduje się typowy produkt masowego grafomanstwa sowieckiego „Miłość Komsomolki” Wiery Kełtińskiej (Wyd. Współczesne).

„Rój” zapowiada wydanie „Czuszmy” Nowikowa-Prjobja w przekładzie W. Broniewskiego.

## IMIENINY

Pani domu w stylowej sukience z żorzęty Bawi gości przy stole wykwiłtnemi słowy, Piękny serwis do kawy zdo biel serwety, I mieni się w kieliszkach napój rubinowy. Moc kwiatów, stos prezentów otrzymanych w dani.

Mniej jednak cieszy, niż słoiczek kremu, Co go złożył ktoś bardzo zyczliwy dla Pani I podał jej nieznaną nazwę Acticrème'u. Więc się dzieli z Panią tajemnicą cudną, Jak zachować na długo piękno swej urody. Jak usuwania zmarszczek poznać sztukę trudną

I jak nadać twarzyczce wygląd wiecznie młody.

Bo ten krem hormonalny o sile magicznej Odmładza i ożywia skórę niesłychanie;

Więc, by więcej nas było o cerze przesłicznzej, Acticrème'u Antiba używajcie Panie!

## „INFORMACJA PRASOWA POLSKA”

jedynie od lat 15-tu w Polsce biuro kontroli prasowej, widzi w prasie, czyta i wycina z niej wszystko, co interesuje jej abonentów.

Adres biura „Informacji Prasowej Polskiej”, Warszawa, Bracka 5, w lokalu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich (tel. 9-41-53).

# PODRĘCZNIK JĘZYKA ROSYJSKIEGO

W ostatnich czasach daje się we znaki wśród młodzieży polskiej brak znajomości języka rosyjskiego. Gdy przed wojną ta znajomość była narzucona Polakom, wywoływało to zrozumiałą niechęć tak do języka rosyjskiego, jak do literatury i kultury. Obecnie stosunki polsko-rosyjskie uległy tak gruntownym zmianom, że w prasie i w społeczeństwie coraz to częściej napotkamy na zrozumiane narzekania z powodu braku podręczników do nauki języka rosyjskiego; młode pokolenie w Polsce, pozbawione znajomości języka sąsiedniego narodu słowiańskiego, nie mają możliwości zapoznania się z Rosją, jej kulturą i życiem. Setki przekładów z literatury rosyjskiej świadczą o zainteresowaniu twórczością duchową Rosji, lecz nawet do skonały przekład nie oddaje wszystkich cech oryginału. Tembardziej współpracą kulturalną pomiędzy narodami bez znajomości języka jest rzeczą trudną i skomplikowaną. Na Zachodzie, zwłaszcza w Niemczech i w Czechach, od szeregu lat szerzy się znajomość języka rosyjskiego, istnieje dużo podręczników. Brak odpowiedniego podręcznika do nauki języka rosyjskiego dla Polaka spowodował autora niniejszej książki, od szeregu lat wykładającego język rosyjski i literaturę na wyższych uczelniach warszawskich, do opracowania swego rodzaju „compendium”. Układ tej pracy jest systematyczny nie zaś koncentryczny, co daje możliwość sprawdzenia poszczególnych form językowych podług odpowiednich rozdziałów. Z tego wynika, że główny nacisk autor kładł na zjawiska językowe, zaś teksty mają te zjawiska ilustrować. Pytania i ćwiczenia oraz preparacje z wyszczególnieniem form językowych mają za zadanie ułatwić samodzielnemu czytelnikowi rozpoznanie się w materiale językowym. Wszystkie wyrazy rosyjskie są podane z akcentacją. Ponadto autor podał typy akcentacji i podług tych typów zgrupował wyrazy, co stanowi niewątpliwie dodatnią cechę podręcznika. Uważny czytelnik zwróci również uwagę na uwypuklenie przez autora zasadniczych cech fonetycznych języka rosyjskiego

go w związku z ich graficznymi odpowiednikami. W porównaniu bowiem z językiem polskim język rosyjski ma tę właściwość, że poszczególne dźwięki pod wpływem sąsiadujących zmieniają swoje pierwotne zabarwienie. Rozdział „ćwiczenie w pisowni” wprowadza w technikę liter pisanych. Co się tyczy rozdziału „ćwiczenie w czytaniu”, można byłoby go z łatwością się pozbyć ze względu na ścisłe gramatyczny charakter podręcznika; natomiast niezbędnym byłoby wydanie osobnej książki wypisów literatury rosyjskiej w XIX z ogólnym wstępem, wprowadzającym w historię rozwój tej literatury.

Miejmy nadzieję, że autor podręcznika niebieszego uczyni temu życzeniu zadość, jak również wyda „Drugą książkę”, w której ma być podany system czasowników rosyjskich. Podział bowiem podręcznika na dwa tomy jest stroną ujemną tej pracy; jednakże „preparacje”, stanowiące połowę pierwszego tomu są tak niezbędne, że musimy przyznać autorowi rację w tem rozplanowaniu materiału. Zresztą „Pierwsza książka” stanowi ponieważ całość, ponieważ w preparacjach są podane również formy czasownikowe.

Należy pozbawić zwrócić uwagę na pożyteczność ułożonych przez autora tablic różnic pomiędzy językiem polskim a rosyjskim oraz słownika wyrazów polskich i rosyjskich, brzmiących jednakowo i podobnie a mających inne znaczenie. Znacznym ułatwieniem jest t. zw. „nowa pisownia” rosyjska, którą autor podręcznika wprowadził za aprobatą Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Kilka niezbyt wyraźnie sformułowanych określeń gramatycznych oraz parę omyłek w druku nie przeszkadzają, aby ten podręcznik był uważany za pożyteczną i bardzo potrzebną książkę, której dawno brakowało na rynku księgarskim.

Ao.  
S. Kulakowski. „Pierwsza książka do nauki języka rosyjskiego”. Książnica-Atlas. I. w. Warszawa. 1934. Str. 258.

powieści Henryka Duvernois p. t. „Siostry Hortensias”. Ocenę swą zamyka recenzentka uwagą, iż tłumacz „wykonał tym razem przekład zbyt pośpiesznie”, cytując na dowód tak niefortunne — jej zdaniem — wyrażenie jak: „ociągałem się z usięściem”.

Otóż pozwolę sobie zauważyć, że zwrot ten, acz rzadko dziś używany, jest zupełnie poprawny i nie widzę czemu miałby być niefortunnym. Podobnie jak od „posiąść” mamy rzeczownik odsłowny „posięście — tak i od „usiąść” — całkiem prawidłowo: „usięście”; (u starszych autorów spotyka się też: „dosięście konia”, a także „osięście na roli”).

Trudno mi rzecz prosta szerzej dowodzić staranności własnego przekładu, niemniej wolno mi zaprotestować przeciw zbagatelizowaniu mej pracy przez recenzenta. (Nadmieniamy nawiasem, że praca tłumacza najczęściej bywa poprostu całkiem pomijana: dowodem choćby recenzja z tej własnej książki w Nr. 17 „Pionu”, gdzie o przekładzie niema ani słowa...)

W każdym zaś razie muszę stwierdzić, iż, skoro już szanownej recenzentce przekład mój nie przypadł do smaku, powinna była wyszukać jakich innych przykładów, gdyż ten jaki podała wybrany został snać zbyt pośpiesznie i nie jest fortunny...

Gabryel Karski

## Nowa polska opera

Ostatnią premierą Teatru Wielkiego była pierwsza opera znanego kompozytora polskiego Michała Kondrackiego p. t. „Popieliny”. Utwór osnuto na tle pierwszej księgi Kasprowiczowskiego „Marchołta”. Dzieło utrzymane jest w stylu misterjum ludowego i całkowicie odbiega od dotychczasowych szablonów operowych. Nowa opera ukazała się w oprawie scenicznej prof. Jarockiego. Kierownictwo reżyserkie zespołu Teatru Wielkiego objął Al. Zelwrowicz. Dyrygował młody i wybitnie utalentowany kapelmistrz M. Mierzejewski.

## KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

### POEZJE

Leopold Staff — Zywiąc się w locie. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Wojciech Bak — Brzemie niebieskie. Warszawa, MCMXXXIV. Kraków. Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Konstanty M. Kiewicz, Roman Ost i Stanisław Mioduszewski — Profile. Poezje. Warszawa, 1934.

### POWIEŚĆ. NOWELA

Marja Dąbrowska — Uśmiech dzieciństwa. Wspomnienia. Wydanie drugie. Warszawa. 1934. Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie.

Jerzy Mieczysław Rytard — Dalekie spojrzenie. Warszawa, 1934. Wydawnictwo „Droga”.

Fr. Körmendi — Przygoda w Budapeszcie. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1934.

E. Kobylińska — Złote schody. Powieść. Wilno. Skład główny w Księgarni św. Wojciecha.

E. Kobylińska — Świat w szkole. Pamiętnik nauczycielki. L. Chomiński. Wilno.

Bruno Jasiński — Człowiek zmienia skórę. Powieść. Tow. Wyd. „Mewa”.

Pantelejmon Romanow — Własność. Powieść. Tow. Wyd. „Mewa”.

Ludwik Świeżawski — Miasto bez ojczyzny. Warszawa, 1934. Wyd. Młodej Prozy.

### ZYCIORYSY

Leopold Staff — Michał Anioł. Nakł. Państw. Wyd. Książek Szkolnych — 1934.

Stanisław Wasylewski — Mikołaj Rey. Nakł. Państw. Wyd. Książek Szkolnych. 1934.

Tadeusz Zelencki (Boy) — Balzak. Nakł. Państw. Wyd. Książek Szkolnych. 1934.

### SZKICE, ESSEJE

Zygmunt Nowakowski — Dzwonek niedzielnego. Gebethner i Wolff.

### BIBLIJOFILSTWO, BIBLIOTEKARSTWO

Józef Pękalski — Drogi książki, wpływ książki w zależności od sposobu jej otrzymania. Warszawa 1934. Dom Książki Pol.

### DRAMAT, TEATROLOGJA

C. Norwid — Miłość czysta u kąpiel morskich. Z autografu wydał Z. Przesmycki. Droga 1934.

Zdzisław Kwieciński — Samorodny teatr w szkole. Rzecz o instynktach dramatycznym u dzieci i młodzieży. Warszawa 1932. Instytut Teatrów Ludowych.

## DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

### Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarzom w całej Polsce do komisji sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

## LISTY DO REDAKCJI

### „ZAULEK LIT. I ART.” PRZECIWKO „SŁOWU”

Szanowny Panie Redaktorze!

Redakcja „Zaułka literackiego i artystycznego” z oburzeniem musi napiętnować stanowisko, jakie ostatnio zajęło „Słowo” wobec budowy pomnika Mickiewicza w Wilnie. Stanowisko to jest społeczną dywersją, zmierzającą do zahamowania zbiórki pieniężnej, w której udział bierze cały naród polski.

Po wieloletniej dyskusji, kilku konkursach i obszernym omówieniu sprawy, komitet budowy pomnika złożony z 90 przedstawicieli społeczeństwa pod przewodnictwem gen. Żeligowskiego zatwierdził ostatecznie w 1932 r. decyzję fachowego sądu konkursowego. Uchwałę tę, opowiadającą się za projektem Henryka Kuny, i wybór miejsca pod pomnik — powitała wówczas redakcja „Słowa” z podkreślanym kilkakrotnie entuzjazmem (Nr. Nr. 36 i 49 z r. 1932).

Obecnie, kiedy budowa weszła w stadium ostatecznej realizacji, „Słowo” rozpoczęło gwałtowną akcję, która jest demagogiczną napaścią na cały komitet budowy pomnika, na gremjum sędziów konkursowych i na najwyższych reprezentantów społeczeństwa, zasiadających w zarządzie tego komitetu.

Na znak protestu przeciwko szkodliwej działalności „Słowa” redakcja „Zaułka lit. i art.” postanowiła zaniechać współpracy z tem pismem i zaprzęścić wydawania dwutygodnika „Zaułek” jako dodatku „Słowa”.

Komitet Redakcyjny dwutygodnika „Zaułek literacki i artystyczny”.

(—) Wanda Dobaczewska, (—) Tad. Łopalewski, (—) Wit. Hulewicz,

(—) Stefan Narębski.

### O TRANSMISJI DYSKUSJI MICKIEWICZOWSKIEJ

Szanowny Panie Redaktorze!

W środę 11 kwietnia b. r. odbyła się w lokalu Związku Zawodowego Literatów Polskich w Wilnie dyskusja o walorach artystycznych poezji Mickiewicza i aktualności tego poety jako wzoru na dzisiaj. Został odczytany sonet Mickiewicza, a następnie dla zestawienia jeden z wierszy awangardzisty Juljana Przybosa. Celem paratele było wykazanie niedostatków t. zw. awangardy poe-

tyckiej w porównaniu z poezją okresu Mickiewicza, przedmiotem dyskusji natomiast próba postawienia kwestji co z Mickiewicza uczyniło tak wielkiego poe. Dyskusję prowadził pan Tadeusz Byrski, wzięli w niej udział niżej podpisani. Dyskusja ta transmitowana przez Radio, była 6ym skolei wieczorem w cyklu audycji poświęconych Wieszczołowi przez rozgłośnie wileńską. W prasie wywołała komentarze błędne, niesmaczne, lub obliczone na tanią sensację. W związku z niemi oświadczamy, że:

1. Nieprawdą jest, jakobyśmy głosili „błędnicze rewelacje”, natomiast jest prawdą, że staraliśmy się w możliwie przystępny sposób podać pojęcia będące w powszechnym obiegu nawet na seminarjach uniwersyteckich.

2. Nieprawdą jest, jakobyśmy chcieli buntować przeciw Mickiewiczowi, natomiast prawdą jest, że staraliśmy się jako poeci wybrać zeń elementy przydatne i pouczające dla poety Polski nowej.

(—) Teodor Bujnicki, (—) Tadeusz Byrski, (—) Konstanty I. Gałczyński, (—) Józef Masliński, (—) Jerzy Zagórski.

(Pomieszczając list powyższy nie możemy się powstrzymać od uwagi, że forma omawianej transmisji mogła całkowicie zniekształcić intencje dyskutantów. Nieumiejętność formułowania myśli, chaotyczność stylu, odbieganie od tematu, wreszcie brak dialektycznego wyrobienia — oto powody, które najwidoczniej obniżyły poziom seansu, wywierając na radiosluchaczach dość przykre wrażenie. Wypowiadając swoją opinię, dalecy oczywiście jesteśmy od podsuwania dyskutantom jakichś „błędniczych rewelacji”. Red.)

### O TŁUMACZENIE DUVERNOIS.

Szanowny Panie Redaktorze!

Powróciwszy do Warszawy po kilkotygodniowej nieobecności, dopiero wczoraj przeczytałem pośród przysyłanych mi przez Informację Prasową Polską wycinków recenzję, na którą replikuję poniżej. Stąd — opóźnienie w wysłaniu repliki, za której ogłoszenie będę Redakcji bardzo wdzięczny.

W „Kurjerze Warszawskim” z dn. 10 ub. m. p. Z. R. (Zuzanna Rabska) zamieściła recenzję z przełożonej przezemnie

## Na ekranach

### „HANKA” („Palace”)

Trudno zaliczyć piosenki Własta, czy książeczki o „Białej damie”, sprzedawane na jarmarkach, do literatury. Nie poświęca się tym przejawom twórczości artystycznej artystów i nie pisze się o nich krytyk. W filmie niestety brak znamion wyróżniających, zewnętrznych i dlatego trzeba o „pod-filmie” reżyserji Jerzego Dala napisać słów parę, zwłaszcza, że ten kinowy odpowiednik sztuki jarmarcznej wyświetlany jest na „zerokranie” w stolicy...

„Hanka” ma scenarjusz na poziomie piśmi podwórzowych. Opowieść to rzewna i wzruszająca o pięknej dziewczycy-sierocie, która kochała dzielnego kłusownika, a dreczona była wielce miłością potężnego króla cyganów. Dla rozmaitości i okraszy wpleciono jeszcze rewolucję 1905 roku, zdjęcia wojenne z 1914 i 1920 r., a w zakończeniu filmu modną dziś apoteozą pracy na roli. Reżyser jest do tego stopnia bezradny, że wyjaśnia widzom nieskomplikowaną zresztą akcję przy pomocy napisów, wkopjowanych na taśmie. Same zdjęcia i montaż w swej naiwności fantastyczne, nic nie mówią, tworząc konstrukcję zupełnie przypadkową.

Punktem atrakcyjnym filmu, i zdaje się jedynym powodem dla którego „Hanka” została nakręcona są popisy chóru cygańskiego Siemionowa i Olgi Kamińskiej, śpiewających bez wytożenia i do znudzenia — „Oczy czarne”. Bohaterka filmu Ina Benita powtarza swą rolę z „Przybłędą”, urozmaicając ją popisami tanecznymi na dworze cygańskiego monarchy (Jerzy Nieznanny); Zbigniew Staniewicz jest spoczątku kłusownikiem, a potem bohaterem-obroncą Ojczyzny. Nie trzeba dodawać, że żadna z wyżej wymienionych osób nie usiłuje nawet grać, po prostu stając na strojeniu mniej lub więcej zabawnych grymasów, względnie na zabawie w tak zw. „kamienną maskę”.

Prymitywne dekoracje, źle skopjowana taśma, banalne i płaskie zdjęcia w połączeniu z bezradnością reżysera, beznadziejnością scenarjusza i brakiem prawdziwych aktorów, tworzą atmosferę tragiczną. A do tego jeszcze brzęczące gitary i tęskne melodie cygańskie...

### „SPRYTNA DZIEWCZYNA” („Filharmonja”)

Film reżyserji Marion Geringa należy do modnej ostatnio serji obrazów kameralnych, mniej ma jednak finezji i subtelnego dowcipu od autorów Lubitscha („Złote sidła” i „Sztuka życia”). „Sprytna dziewczyna” to uczciwe, ale bez polotu zrobione studjum obyczajowo-psychologiczne z życia przeciętnych, szarych ludzi — mieszkańców jakiegoś miasta amerykańskiego Middlandu. On — niebieski ptak na małą skalę, ona — uczciwa dziewczyna, starająca się nawrócić go na drogę uczciwości. Oto zawiązek akcji i dramatu.

Charaktery i konflikty są narysowane przez scenarzystę (W. Lippman) i reżysera — przejrzyste i wyraźne, ale dość powierzchownie, i tylko niewątpliwy talent aktorów (Sybilla Sidney i Fr. March) daje widzowi złudzenie prawdziwości i „ważności” tej blahej w gruncie rzeczy opowiadki. Forma, chociaż nie ortodoksyjnie filmowa (dIALOG — podstawa) — nienaganna.

b.

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590  
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.  
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świąciecki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zieliński

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10

R